ROK XXX. LISTOPAD-GRUDZIEŃ 1936 r. ZESZYT XI i XII.

Powściągliwość i Praca



POWŚCIĄGLIWOŚĆ i PRACA

Miesięcznik — Organ Tow. Świętego Michała Archanioła poświęcor sprawom wychowawczo-religijnym, kulturalno-społecznym i narodowyr

Wydawca: Towarzystwo Świętego Michała Archanioła.

Prenumerata roczna w kraju 3 złp. — za granicą 5 złp. Prenumeratę, kor spondencję, wszelkie zamówienia na wydawnictwa i ogłoszenia oraz wszel kie inne przesyłki dotyczące czasopisma upraszamy kierować wyłącznie pod adresem: **Redakcja „Powściągliwości i Pracy" w Miejscu Piastowyn Małopolska.** Pieniądze można przesyłać: przekazem pocztowym (przy czy na odcinku należy zawsze wypisać ich przeznaczenie), blankietem P. K. C w Krakowie Nr. 405.570 (również z dopiskiem na co pieniądze są przezna czone), albo przekazem rozrachunkowym. Cena pojedynczego zeszytu 25 g.



Wszystkim naszym Czytelnikom i Dobrodziejom
oraz wszystkim
Przyjaciołom naszych Zakładów poświęconych pracy nad wychowaniem sierot
serdeczne życzenia

Wesołych Świąt

i błogosławieństwa Bożego na Nowy Rok
zasyła
Redakcja „Powściągliwość i Praca“ w Miejscu Piastowym

CHRYSTUS SIĘ RODZI!

Chrystus się rodzi! nucą Anieli —
Głos się rozchodzi wśród nocy mroku.
Leży w żłóbeczku — w sianka pościeli,
A nad nim gwiazdy błyszczą z obłoku.
Chrystus się rodzi! wiatr szepce z cicha —
Chrystus się rodzi! gwiazdy szeptają.
Wszystko co żyje, myśli, oddycha,
Woła: Jezusa dzisiaj witają!
Więc nie żałując czasu ni drogi,
Niech przyjdzie tutaj, smutny, ubogi
I ten chorobą co nawiedzony,
Niech powie: Jezu! bądź pochwalony!

Maria Matakiewicz.

U źródła uzdrowienia i odrodzenia.

Kiedy bluźniercze pióro Nietschego, tego skrajnego indywidualisty, jadem i wyrafinowaną złośliwością obrzucało moralność altruistyczną, w szczególności moralność chrześcijańską, a Zaratustra tłumowi, pomrukującemu na kazaniu mistrza o nadczłowieku, zapowiadał, że „Bóg umarł: niechże za naszą wolą nadczłowiek teraz żyje“ (Tako rzecze Zaratustra, tłum. Berenta, str. 417 i 418) słowa te z szatańskim uśmiechem powtarzał oświecony liberalizm, chlubiąc się tym, że zdetronizował Boga w społeczeństwie. Potem przyszły rewolucje jedna po drugiej, wojna światowa i znowu rewolucje, świat przestał się śmiać ale Bóg pozostał obcym dla społeczności ludzkiej. Technika, ekonomia miały rzekomo wystarczyć dla szczęścia ludzkości; w biurach, zakładach przemysłowych a nawet i w szkołach krzyż był rzadkością, modlitwa była co najwyżej formalnością, z którą trzeba było liczyć się w pewnych wypadkach, boć przecież choćby „najpiękniejszymi cytatami z Pisma św. nie zbuduje się kolej, nie popchnie naprzód gospodarki narodowej“. Produkcję społeczną wysunięto na czoło, jak gdyby ona jedna decydowała o dobrobycie, jak gdyby bogactwo narodowe było równoznaczne z ogólnym dobrobytem.

Tymczasem zapomniano o naczelnej zasadzie, panującej w świecie wartości a mianowicie, że wartości wyższe są czynnikiem jednoczącym ludzi i że ta siła jednocząca osiąga najwyższy stopień w wartościach najwyższych, a więc w wartościach i dobrach religii. Wartości czysto witalne powodują raczej wzajemne odosobnienie, odgraniczenie ludzi, wartości zaś czysto materialne dzielą, rozrywają, rozradzają wyższe wspólnoty. Gdzie chodzi o pieniądze, tam ustaje wszelka uprzejmość, a doświadczenie uczy, że najczęściej dobra materialne, pieniądz, był tym czynnikiem, który spokojne i zgodne rodziny powaśnił; procesy o spadek mogą służyć jako typowy przykład powikłań i nienawiści, wywołanych jedynie kwestią materialną. Nikt też nie może zaprzeczyć, że ostateczną przyczyną kwestii socjalnej w zachodnich krajach chrześcijańskich, które przecież winny tworzyć jedną rodzinę bożą, jest walka i spór o dobra ziemi; Bóg i oparta o Boga sprawiedliwość i miłość obce są narodom, nie przenikają życia i działania ludzkiego, nie wchodzą w rachubę w stosunkach międzynarodowych. Wszelkie zaś dobra, jakie stwarza praca i technika, rozdzierają i kłócą między sobą ludzi, jeśli praca i rozdział dóbr nie dokonywa się w atmosferze bojaźni Bożej, odpowiedzialności przed Bogiem, przy respektowaniu wartości wiecznych. Wprawdzie ludzie muszą pracować wspólnie i wspólnota pracy łączy ich w pewnej mierze, lecz raczej zewnętrznie; bez Boga pracują wspólnie jak gdyby żelaznymi łańcuchami związani, jeden patrzy z zawiścią na drugiego i na jego zarobek, każdy uważa się za pokrzywdzonego, a im więcej są złączeni we wspólnej pracy, tym więcej rośnie zawiść, walka, a sama praca staje się piekłem na ziemi. Stąd słusznie po-

wiedział jeden z uczonych europejskiej sławy na kongresie socjologów i ekonomistów: „Kwestia socjalna bez wiary w Boga nie może być rozwiązana, bo bez tej wiary społeczność ludzka będzie wzajemnie pożerać się w nieustannych walkach klasowych.” Może nie wszystkim uczestnikom kongresu podobało się to zdanie, ale nikt nie odważył się postawić sprzeciwu, chociaż wielu było między nimi, którzy ongiś powtarzali, że Bóg już umarł.

I tak być musi, bo Bóg nie jest abstrakcją czy fikcją, ale rzeczywistością, z którą musi się liczyć i ekonomia w szczególności. Bo, jeśli jej ostateczny cel i sens nie oprze się o Boga, będzie zawsze materiałem wybuchowym i czynnikiem rozkładu. I nie ma innej rzeczywistości, która by ujarzmiła rozkładową i wybuchową siłę pierwiastka materialnego prócz Boga i nie ma ideału, który by mógł zastąpić Boga; ani narodowość, ani wspólność pochodzenia, języka, kultury, ani humanitaryzm liberalizmu, ni socjalizm ze swą utopijną doktryną o szczęściu doczesnym ludzi, oparty zresztą na fałszywych przesłankach, nie zdołają rozwiązać kwestii społecznej, co zresztą aż nadto wyraźnie wykazało ich chwilowe władztwo w społeczeństwie ludzkim.

Liberalizm społeczny burzy ideę społeczeństwa jako moralnego organizmu, którego życiowym tchem jest Bóg a najistotniejszym węzłem — węzeł moralny, a natomiast ujmuje społeczeństwo jako szereg atomów, jednostek, które tylko własny interes mają na oku. Tej gromadzie atomów brakuje jednak punktu ciężkości, koło którego mogłaby nastąpić grawitacja, stąd interesy jednostek i interesy klasowe rozrzucają jednostki i klasy społeczne, wiodą zawrotny taniec, którego epilogiem chaos, anarchia i wieczna rewolucja.

Punktem wyjścia dla rozwiązania problemu współżycia ludzi i narodów musi być poznanie prawdziwej natury ludzkiej i jej ostatecznego celu; rozum ludzki nie może objąć całokształtu człowieka, bo nie sięga sfery nadprzyrodzonej, dlatego musi oprzeć się na nauce objawionej, na prawdach chrześcijańskiej religii, która potwierdza i umacnia rezultaty badań zdrowego rozumu, a nadto uzupełnia je nowymi prawdami, których rozum sam odkryć nie może. Na takim dopiero fundamentalnym i gruntownym poznaniu oparte normy współżycia mogą jedynie przynieść dobrobyt i zapewnić względną szczęśliwość. Drogi oczywiście do rozwiązania kwestii socjalnej są rozmaite, jedne więcej, drugie mniej wypróbowane, religia ich nie wskazuje, bo to leży poza sferą jej celu i zadania, ale wiecznie przypomina, że każda droga mimo Boga czy przeciw Bogu chybi celu i pogłębi tylko niedomagania społeczne. Bóg nie umarł, lecz żyje, a naczelne postulaty i filary wszelkiej wspólnoty: sprawiedliwość i miłość bliźniego wypływają z moralnego porządku świata, z idei Boga i wiary w Stworzenie i Odkupienie przez Boga.

Dziś w szczególności, nie po raz pierwszy zresztą, wybiła godzina chrześcijaństwa. Musi nastąpić likwidacja błędów przeszłości, muszą stać

się żywotnymi siły chrześcijaństwa, bo tylko dwie możliwości stają przed nami: ewolucja lub rewolucja tzn. albo jeszcze raz w starzejącym się Zachodzie okaże się uzdrawiająca moc chrześcijaństwa, oczywiście, gdy generacje obecne i przyszłe z niego będą czerpać swe siły, gdy Chrystus będzie żył i królował w społeczeństwie i przenikał wszelką rzeczywistość, albo też chrześcijański Zachód pławić się będzie w coraz to nowych rewolucjach aż do zupełnej katastrofy. Czerwony znak ostrzegawczy płonie już od kilkunastu lat na Wschodzie!

Ks. Dr. Zygmunt Kozubski
Prof. Uniw. J. P.

Wspólny front ateistów i komunistów.

(Nowa taktyka wolnomyślicieli).

Po raz pierwszy w dziejach żywioły ateistyczne i wolnomyślicielskie podjęły ofensywę przeciwko religii na miarę światową. Po ostatnim kongresie międzynarodówki wolnomyślicielskiej w Pradze Czeskiej 22 maja r. b. zaczęto wprowadzać w życie plan kampanii ateistycznej. Obecnie, jak donosi londyński „The Universe“ z 9 października w art. „The Atheist Front“ (Front ateistów) odbył się w Paryżu zjazd komitetu wykonawczego światowej organizacji wolnomyślicieli. Powzięto przy tym szereg taktycznych uchwał, które mają być według ściśle określonego planu realizowane.

Uchwały te, zamieszczone w oficjalnym organie międzynarodówki komunistycznej „International Press Correspondence“ zmierzają do skonsolidowanej ofensywy na czas najbliższy żywiołów ateistycznych w różnych krajach; są one bardzo charakterystyczne, odznaczają się przebiegłością i żywiołową nienawiścią do Kościoła katolickiego. Dla nas katolików, chcących skutecznie odeprzeć zakusy frontu ateistów, ma wielkie znaczenie należyte poznanie taktyki wrogów, — dlatego przytoczymy tu w streszczeniu ów nowy plan ofensywy wolnomyślicieli:

A więc — po pierwsze zalecają oni organizowanie walki z religią nie na dawną modłę gdy wprost atakowano dogmaty wiary i ustrój Kościoła, ale w sposób uboczny: należy mianowicie organizować we wszystkich krajach popularno-naukowe „wykłady w duchu kulturalnego postępu“, które oświetlając prawa życia, wykluczałyby i pomijały milczeniem wszelki pierwiastek nadprzyrodzony, urabiając w słuchaczach niezłomne przekonanie, że wszelkie przejawy życia biorą swoje źródło jedynie z odwiecznych praw przyrody.

W ten sposób — jak twierdzą przywódcy międzynarodówki wolnomyślicieli — uniknie się niepotrzebnej reakcji ze strony sfer wierzących, na którą można być narażonym zawsze, gdy się uderza wprost w dogmaty wiary. W ten sposób metodę zbędnej negacji zastąpi się metodą pozytywną, ubraną

przy tym w formę „postępu naukowego“ — co daleko skuteczniej niż wszelkie bezpośrednie napaści na religię, zdoła pozbawić człowieka wszelkich wierzeń w życie nadprzyrodzone.

Powtóre — obok tej pozytywnej teoretycznej walki z religią musi być przeprowadzona akcja praktyczna, zmierzająca do rozbicia katolickiego społeczeństwa na dwa wrogie sobie obozy. Należy wykorzystać w tym celu panujący dziś powszechnie kryzys ekonomiczny i wprowadzić ferment do mas katolickich w ten sposób: tym wszystkim katolikom, którzy z racji swej pozycji socjalnej posiadają względny dobrobyt, należy przeciwstawić tłumy katolików, przyciśniętych niedostatkiem i wyczekujących naprawy ustroju społecznego. Należy sugestionować te masy „katolickiego proletariatu“ robotników, drobnych rzemieślników i kupców, włościan, dowodząc przy każdej okazji, że dzieje im się krzywda, że hierarchia kościelna i uprzywilejowane materialnie grupy katolików utrzymują ich świadomie w tym stanie zaniedbania, aby ich eksploatować. Trzeba dążyć do tego, aby te masy czuły się pokrzywdzone i aby domagały się nowego ustroju w Kościele w imię zasad demokracji i wolności sumienia. W ten sposób przygotuje się grunt do stworzenia wspólnego frontu wolnomyślicieli nawet wśród panujących mas katolickich.

Tego rodzaju taktyka „frontu ateistów“ może istotnie okazać się w naszych czasach niebezpieczną, tam zwłaszcza, gdzie padnie na grunt przygotowany przez demagogię politykierów. W taktyce tej widzimy przewrotność i cynizm: wolnomyśliciele, aprobujący walkę z religią uprawianą w Sowietach pomijają milczeniem fakt, że właśnie bolszewickie ustawodawstwo jest zaprzeczeniem wszelkiej demokracji i wolności sumienia. W sowieckim kodeksie karnym paragraf 121 wyraźnie podkreśla, że nauczanie religii w obrębie państwa sowieckiego lub organizowanie prywatnego nauczania będzie karane więzieniem.

Jeżeli zaś chodzi o krzywdę proletariatu, to ateiści wiedzą dobrze, iż sam Ojciec św. i szereg biskupów ciągle podkreślają tę krzywdę w encyklikach i listach pasterskich i podają wskazania do jej usunięcia. Więc przeciwstawianie dążeń „proletariatu katolickiego” dążeniom hierarchii Kościoła jest zwykłym cynizmem.

Ale, jak zaznaczyliśmy, biorąc pod uwagę dzisiejsze nastroje przygnębionych mas wyczekujących poprawy swej doli, musimy przyznać, że przewrotne metody walki z Kościołem, zalecane przez międzynarodówkę ateistów, są rzeczywiście niebezpieczne i muszą wywołać ze strony organizacji katolickich czujność i kontrakcję, która winna przede wszystkim przeprowadzić: 1. Jak najszersze uświadomienie wiernych o społecznych wskazaniach Kościoła, zawartych w encyklikach papieży Leona XIII i Piusa XI, wskazujących przemianę ustroju na rzecz mas pracujących. 2. Systematyczne uświadamianie o prawdach wiary nie tylko wśród młodzieży w szkołach, ale i wsród dorosłych, wykazując, że najnowsze zdobycze wiedzy nie tylko nie wykluczają istnienia prawd o życiu nadprzyrodzonym, ale je potwierdzają.

KAP.

Sekciarstwo w Polsce.

(Ciąg dalszy).

Duchoborcy.

Duchoborcy należą do sekt, które istniały na ziemiach dawnej Polski jeszcze w czasach zaborów. Znaczną liczbę wyznawców tej sekty przyciągnęła na swą stronę, o wiek cały młodsza i zbliżona do duchoborców, sekta sztundystów, tak nazwana od godzin (Stunde) wspólnych posiedzeń sekciarzy. Sekta pierwsza zaczęła się szerzyć w Rosji w latach 1740 — 1750.

Ze stanowiska państwowego duchoborcy są to zdeklarowani anarchiści. Odrzucają oni wszelką władzę, tak duchowną jak i świecką, potępiają służbę w wojsku, składanie przysięgi uważają za rzecz niedopuszczalną.

Wierzą jedynie w Kościół niewidzialny, w oddziaływanie Ducha św. w duszy każdego człowieka. Nie uznają sakramentów, odrzucają wszelkie obrzędy, nie obchodzą żadnych świąt. Nabożeństwo ich polega na czytaniu psalmów i na śpiewach.

W r. 1845 osiadł w kolonii niemieckiej Rorbach, założonej w gubernii charkowskiej — pastor luterański Benekaempfer, który rozwinął energiczną działalność religijną wśród kolonistów i wkrótce wystąpił jako twórca nowej sekty, sztundystów (chrześcijan ewangelicznych). W zdumiewająco krótkim czasie sekta ta pozyskała pokaźną liczbę zwolenników wśród chłopów południowo-rosyjskich, a później rozszerzyła się dalej, tak że w roku wybuchu wojny światowej posiadali sztundyści licznych zwolenników niemal we wszystkich guberniach Rosji europejskiej, a nawet sięgnęli na Syberię.

Zwartość, sprężystość organizacji i karność w szeregach sekty, zapewniły akcji Benekaempfera pełne powodzenie.

Koncepcje religijne sekty przedstawiały się jako zlepek teorii i wierzeń różnych sekt protestanckich, o podłożu racjonalistycznym. Głównym zadaniem tej sekty było urabianie wśród mas włościaństwa rosyjskiego wrogiego stosunku do państwa.

W procesie rozkładania armii rosyjskiej w latach wojny światowej sekciarze ci oddali poważne usługi wrogom Rosji.

Propaganda sztundystów w Polsce jak to stwierdził „Przegląd Katolicki" (nr 33 z r. 1926) — posiada również antypaństwowy i antypolski charakter:

„Na pierwszym miejscu w nauce sztundystów występuje stosunek do służby wojskowej i do wojny. Według nich, każda wojna, nawet podjęta w obronie granic, jest zwyczajnym morderstwem, które przez Boga zostało zakazane. Stąd wynika obowiązek unikania służby wojskowej i brania broni do rąk. Według sztundystów, zamiast wojny, winno być stosowane przekonywanie słowem Bożym. Twierdzą oni, że kto mieczem zabija, sam winien być mieczem zabity.

Nie da się zaprzeczyć, że gwałtowne propagowanie wśród chłopów sztundyzmu jest doskonałym środkiem rozbrajania, takim samym zupełnie jak wysadzanie w powietrze wojskowych składów amunicji. Wpoić w chłopa rzekomo religijną zasadę, że winien nie słuchać władzy państwowej, powołującej do wojska, że nie wolno używać nakazanej przez państwo broni, to przecież antypaństwowa akcja, to przecież najwyraźniejszy dowód, że ta propaganda nie jest propagandą religijną".

„Drugim punktem sztundystowskich wskazań jest unikanie przysięgi. Zaprzeczają ponadto sztundyści państwu prawa tworzenia sądów i sądzenia".

„Sztundę szerzą na Wołyniu i w Wileńszczyźnie przeważnie żydzi! Jest to rzecz stwierdzona. Jeżeli teraz zestawimy przytoczone wyżej zasady etyczne ze źródłami i środkami propagandy, rzuca się w oczy charakter tej roboty. To nie jest propaganda religijna. To jest sprawa czysto polityczna, to są daleko zakrojone cele antypaństwowe, antypolskie, antychrześcijańskie. Sztundę trzeba traktować na równi z każdym związkiem antypaństwowym."

Dr M. Skrudlik.

SURSUM CORDA.

A gdy już gwiazda zapłonie,
i wszyscy zbierą się społem —
ja wezmę opłatek w swe dłonie!
obejdę Was wszystkich za stołem
i dzieląc się białą kruszyną,
życzenia każdemu snuć będę!...
— — — — — — — —
A potem — niech pieśni popłyną,
niech serca zanucą — kolędę!...
...Bo smucić się dzisiaj nie godzi,
ni płakać, gdyż łez Wam zabraknie!...
— — — — — — — —
- Czy wiecie, że Chrystus się rodzi
dla tego, co cierpi? co łaknie?!?...
— — — — — — — —
— Więc w górę swe serca, bezdomni!
cierpiący! i pracą strudzeni!!!
. . . .
. . . .
I o Was Bóg sobie przypomni:
Wasz smutek na radość zamieni!...
— — — — — — — —
Niech tylko stół wszyscy obsiędą
i czują się odtąd, jak swoi, —
a serca, rozbrzmiałe kolędą,
On łask swych balsamem ukoi!!!

E. Kłoniecki.

Wiatr gasi łojówkę a rozpłomienia pochodnię.

Wielkie czyny, wielkie rzeczy potrzebują do utrwalenia się wielkiego ognia...

Każdy światopogląd, każdy system myślenia u człowieka utrwala się w nim dopiero wtedy, gdy zostanie przez jego umysł i serce dobrze stra-

wiony, zgłębiony, zbadany... To, co się człowiekowi podoba, co mu odpowiada, przyjmuje jego umysł i jego serce z entuzjazmem.

Dlaczego tylu dziś mamy entuzjastów dla rzeczy zupełnie nieraz złych — a tak mało niestety dla rzeczy wzniosłych, dobrych?

Dlatego, że nastąpiła deprecjacja czyli obniżenie wartości tych rzeczy przez złą naukę, złe przyzwyczajenia, przez przewrotne rady ludzi albo złych, albo całkiem ślepych...

Dlatego, że za mało w sobie wzbudzamy wewnętrznego ognia potrzebnego do przetrawienia rzeczy wzniosłych...

„Wzniosłość“ w ogóle została ośmieszona — pojęcie jej zostało zupełnie wypaczone... Dokonał tego źle pojęty realizm w naszym patrzeniu na świat i rzeczy. Zatryumfował zmysł fałszywie zrozumianej „praktyczności“ — zapanował wszechwładnie jakiś dziwnie obojętny na wszystko materializm — rozpanoszyło się oschłe w swych formach i skostniałe w przejawach pojęcie ludzkiego produktywizmu... To pojęcie kazało nam cenić w człowieku tylko jego zdolność do produkowania, do wytwarzania coraz to nowych wartości „realnych“ — ono uczyniło w końcu z człowieka obdarzonego wysoką inteligencją, promienistym duchem, — zwykłą pozbawioną wszelkiego czucia maszynę...

Wpojono w ludzkość przekonanie, że wszelkie najwznioślejsze uczucia, którymi się ona szczyciła w ciągu wieków, jak uczucie litości, miłosierdzia, wyrozumiałości i miłości bliźniego — to niepotrzebny, zbyt obciążający życiowo balast... Nazwano te uczucia przejawami wewnętrznej naszej słabości i miękkości, — określono je jako przeżyty już i nie na czasie sentymentalizm, — odrzucono je jako synonim tego, co godne raczej pogardy, nie męskie, nie życiowe — nie idące po linii naszego egocentryzmu...

Egocentryzm, — uwielbienie swojego własnego „ja” — uczynił z człowieka adoratora idei komunizmu. W tej idei przebija się jedynie zachłanność na opanowanie przez człowieka jak największej ilości dóbr materialnych... Cóż z tego, że idea ta głosi, jakoby jej celem i dążeniem było uszczęśliwienie jak największej ilości ludzi na świecie, — skoro środki, którymi ona do tego zdąża, są niemoralne, wysoce nieetyczne.

Chcąc uszczęśliwić rzekomo całą ludzkość, idea ta uczy krwawego wydzierania sobie przez jednych tego, co nagromadzili drudzy... Zamiast wpajać w człowieka i rozwijać w nim te cnoty, których zadaniem jest wywołanie w nim gotowości do dobrowolnego dzielenia się z drugim tym, co posiada, — zamiast rozwijać w nim łatwość ograniczania się we własnych potrzebach na rzecz innych, — nauczono go po prostu siłą i przemocą odbierać innym to, co już posiadają, — i oddawać to na rzecz tych, co więcej potrzebują..

Zła i przewrotna metoda. Metoda zaburzeń, gwałtu i przemocy. Człowiek owiany takimi zasadami, owładnięty takim zaborczym uczuciem, staje się zachłanny i drapieżny... Służąc tej idei, przestaje myśleć o ogóle, o ca-

łości — jego jedynym dążeniem w tej służbie jest myśl o sobie — myśl o tym, żeby jemu było lepiej, gdy będzie lepiej wszystkim... Ma to być zgodne rzekomo z naturalnymi potrzebami rozwojowymi wszelkiego istnienia na świecie — ma być oparte na prawach natury, na prawach naturalnego rozwoju... Ale jest to w istocie rzeczy oparte jedynie na najniższym, krwiożerczym instynkcie człowieka, który się nazywa dążeniem do zachowania gatunku w walce o byt a który spotykamy najsilniej rozwinięty u drapieżców... Bo nawet w świecie zwierzęcym w prawach walki o byt, o utrzymanie się przy życiu spotykamy tego rodzaju przejawy, których przyczyny nie można by się doszukać w czysto wegetatywnych, animalnych potrzebach życia... Instynkt społeczny, który w wysokim stopniu rozwinął się w życiu stworzeń żyjących życiem zbiorowym jak mrówki, pszczoły, bobry, — każe im wyrzec się wszystkiego na rzecz ogółu, na rzecz całości... Każe im zrezygnować z wielu osobistych korzyści na rzecz dobra ogólnego... Każe im wnosić do życia ogółu ofiarność w wysiłkach, wytężający nieraz bardzo udział w pracy... Każe im rezygnować z osobistych zachcianek na rzecz tego ogółu... To jest instynkt społeczny u zwierząt — ale to jeszcze nie jest zrozumienie idei życia zbiorowego takie, jakie nam daje chrześcijaństwo...

Idea Chrystusa, idea Kościoła katolickiego, który przejął spadek pozostawiony nam przez Odkupiciela, — uczy nas, że Bóg, który sam nie ma żadnych potrzeb, chce — abyśmy je zaspakajali w osobach biednych (św. Aug. — Serm. 206)... Wszak rzekł On sam: Idźcie i nauczajcie, co to znaczy: miłosierdzia chcę nie ofiary (Mat. 913)... I ten sam Bóg rzekł do uczniów swoich: „*Po tym poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu*"...

Czy my staraliśmy się kiedy zgłębić ogromną ważkość tych słów — zrozumieć ich głębię całą i ich doniosłe znaczenie dla ludzkości?

Czytałem gdzieś raz doskonałe określenie tego poziomu, na którym stoi ludzkość w swym poznaniu i umiłowaniu Boga. Oto zdaje się nam, żeśmy na najwyższym szczeblu drabiny Jakubowej — a my w naszej miłości bliźniego nie zdołaliśmy się wspiąć poza kurzą grzędę.

Dlaczegóż to tak się dzieje?... Dziwnym i niezrozumiałym wydać się może, że największa, najbardziej promienista, jasna, zbawcza i niedająca się niczym zagasić idea, jaką ludzkość kiedykolwiek w swym długim okresie rozwoju zdołała przyjąć, — tak mało ma prawdziwych, gorących zwolenników... Po prostu pytać chcemy, czy to nie jest jakaś straszna pomyłka, jakieś przeoczenie? Szukamy coraz to nowych dróg — a przecież Chrystus nam wyraźnie powiedział: „Jam jest prawda i droga i żywot"... Więc po cóż ten cały daremny trud i to całe poszukiwanie? Po co ta ciągła walka i ta ciągła męka, kiedy na ziemi już dawno winien był zapanować spokój i bratnia miłość?

Odpowiedź na to prosta... bardzo prosta... Przyczyną tego jedną i jedyną, wyłączną jest tylko *zatwardziałość naszych serc*...

. . . .

Musimy przyjąć za pewnik, że wszystko — co się dzieje na tym świecie — dzieje się zgodnie z wolą bożą... Nawet i to, co się nam wydaje złe... Nawet tam, gdzie jest chaos i ciemność i walka najniższych instynktów rozpętanych i oślepionych jakimś huraganem żądz... Na dnie jednak tej walki tkwi skrępowane, słabe, biedne, opuszczone *dobro* i prosi o uwolnienie, pragnie się wydobyć z ucisku i udręczenia... Błaga o litość, o miłosierdzie... To Bóg w człowieku po raz nie wiedzieć już który ukrzyżowany — prosi o zwolnienie z męki... Z męki tej, w którą go podał sam człowiek... za to, że go Bóg umiłował...

Bo Bóg nie chce, aby zło panowało na świecie — ale nie chce też, aby dobro przyszło samo z siebie bez ludzkiego do tego przyczynienia się człowieka. Droga do osiągnięcia doskonałości — jest zatem nie taka trudna. Trzeba tylko *chcieć* i trzeba *zachować serce*...

Od dzikości czysto zwierzęcej i barbarzyńskiego okrucieństwa duch ludzki przebijał się w ciągu wieków przez ciemności i dążył do jasności, do prawdy, do zwycięstwa na tej ziemi dobra...

Długą i żmudną drogą doszedł do rozpoznania tej prawdy i tej jasności — a teraz, o zgrozo!... cofnął się na tej drodze i wraca do pierwotnego barbarzyństwa...

Krew leje się olbrzymimi strugami — gorzej jeszcze może niż w czasie wędrówek ludów — niż za czasów Nerona... Mnożą się wszelkie nieprawości — chwieją się i rozpadają w gruzy potęgi tego świata .. A Bóg cierpliwie patrzy, co czyni człowiek, jego ukochane dziecko...

Odwrócił się od Niego — nie chce go znać — twierdzi z całą pewnością, że Boga nie ma. Burzy Jego świątynie — przewraca poświęcone mu ołtarze — pali, niszczy wszystko, — aby ślad nie pozostał na ziemi po Bogu...

Oczyszczają świat z Boga.

Dlaczego? — na co? — po co? — zapyta ktoś, kto to wszystko widzi i sensu odgadnąć w tym nie może...

Dlatego, że dał nam przykazanie miłości... że kazał nam miłować się jak braciom z jednego ojca i z jednej matki. Dlatego, że powiedział: „*Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili*"...

Uważają, że za mało w tym tkwi realnej, praktycznej, męskiej siły. Za mało przebiegłości, chytrości. Za mało to zgodne z naturalnym pędem rozwojowym człowieka - zwierzęcia, człowieka - drapieżcy. Wychodzi to poza granice materialnego świata, poza sferę tego konkretnego produkcjonizmu, — za mało to jest postępowe. Za nadto mdłe, czułe, starożytne...

A Bóg patrzy na to wszystko i płacze...

Chciał, aby człowiek przez ukochanie dobra, przez ukochanie prawdy, przez zrozumienie cierpienia drugich i przez współczucie, przez litość, przez miłosierdzie — doszedł sam o własnych siłach do raju na ziemi, do szczęścia...

Ale człowiek zatracił zdolność czucia... Człowiek wyrzucił ze swojego wnętrza serce... I pozostawił tylko sam mózg i żołądek... Bo jest teraz konkretny, realny... nie żaden fantasta ani marzyciel... Żołądek krzyczy: jeść... a mózg pcha naprzód, pędzi i wyrywa jak motor, któremu zabrakło regulatora, — i w tym strasznym pędzie naprzód, na oślep — pcha go w przepaść, biednego, obłąkanego człowieka...

Serce-regulator odrzucono jako niepotrzebny, zbędny grat...

Serce, w którym miał zamieszkać Chrystus!...

Dałeś nam wszystko, co dać mogłeś, Panie!...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Bóg czeka cierpliwie, aż woli Jego stanie się ostatecznie zadość i człowiek dojdzie do przeznaczonego mu stanu doskonałości *o własnych siłach i na podstawie własnych bolesnych doświadczeń...*

Bóg kocha człowieka... ale obdarzył go po to wolną wolą, aby mógł doczekać się tej największej radości, że człowiek sam odnalazł drogę do Niego... Bo inaczej nie byłoby zasługi... Wszystkie ewolucje, jakie ludzkość w dziejach swych dotychczas przechodziła, — zmierzają do tego jednego...

Myśl o Bogu — o tem, co wieczne, trwałe i niezmienne, — jest buntem ducha ludzkiego przeciwko materii, która go więzi i trzyma w ciemnościach nocy...

Wszystko, co podpada pod nasze zmysły, staje się dla nas tym bardziej niezrozumiałe, im bardziej dochodzimy do rozpoznania otaczającego nas świata... Nierozwiązalna dla umysłu ludzkiego zagadka komplikuje się i zaciemnia, im bliżej dochodzimy do pramaterii, do układu cząstek i atomów, — do poznania praw, jakie nimi rządzą... Wszystko, co się dzieje na świecie, jest jakby wynikiem jakiejś *pogmatwanej przypadkowości — mimo całej pozornej prawidłowości zjawisk w naturze.* Sens życia naszego wydaje się nie do odgadnięcia, jeśli posługujemy się samym tylko rozumem — samo życie wydaje nam się wtedy bez celu i bez znaczenia... Dopiero, gdy sercem naszym oprzemy się o jakąś rządzącą tym światem siłę wyższą, — wydają nam się bardziej zrozumiałe zjawiska tego świata — formy naszego na nim istnienia — cały ten pozornie przypadkowy porządek rzeczy... Ta konieczność oparcia się o świat nadzmysłowy, — o pierwiastki nadprzyrodzone — o Boga, który łączy w sobie całokształt tych rzeczy dla rozumu naszego nieuchwytnych, — była zawsze głęboko odczuwana przez najgenialniejsze umysły tego świata. Im większy: głębszy rozum człowieka, — tym bardziej odczuwa swą maleńkość wobec wszechświata i to, że jest proszkiem ledwie dostrzegalnym wobec Boga, który go uczynił tym, czym jest. Odczuł to już Mojżesz, gdy mu się Bóg objawił w krzaku gorejącym, — odczuli to potem w olbrzymim, zwartym szeregu najwięksi filozofowie, poeci i uczeni tego świata, nie wyłączając naszych czasów.

Dopiero przez zlanie się z Istotą Boską, przez uświadomienie sobie, że poza dostrzegalną materią jest coś, co tą materią rządzi i jej rozkazuje,

— dopiero przez wydobycie na powierzchnię życia tych tak dziś wzgardzonych walorów duchowych, psychicznych — człowiek staje się *pełnym człowiekiem* znajdującym w sobie moc i siłę do przetrwania walących się nań nieszczęść — znajduje oparcie w swych życiowych niepowodzeniach. Człowiekowi słabemu i ułomnemu, gdy się oprze o Boga — o Jego nieskończoną wielkość i potęgę, — wyrastają jak gdyby skrzydła, na których wznosi się ponad niskie widnokręgi tego świata, — skrzydła, które go podnoszą z prochu tej ziemi i pozwalają wypłynąć w stratosferę odwiecznej Myśli i nie dającego się zmierzyć ludzkim umysłem Rozumu... Staje się on dziwnie cierpliwy i wytrzymały — zaczyna sobie z tego zdawać sprawę, że bez woli boskiej nic złego przydarzyć mu się nie może, — poddaje się chętnie i pogodnie zrządzeniom Opatrzności — przestaje się byle czym przerażać i niepokoić — opanowany, zrównoważony oczekuje ziszczenia się wyroków bożych, — przyjmując z jednakim spokojem to, co przynosi radość, — i to, co daje cierpienie... Jest to bardzo wielkie szczęście, gdy taki stan w duszy naszej zapanuje, — i gdyby wszystkie dusze ludzi żyjących na świecie w takim stanie się znalazły, — zapanowałby na świecie zupełny pokój, niosący wesele i radość, — ten pokój, o którym mówią św. Tomasz i św. Augustyn, że jest w nim pewna „stałość porządku" — kiedy to „duchowa część człowieka jest poddana Bogu, — kiedy niższe władze czyli umysłowość nasza poddaje się stale poprawnemu umysłowi, — kiedy wreszcie uporządkowane stosunki zbudowane na sprawiedliwości i miłości społecznej łączą jednostki między sobą"... (św. Tom., Com. in Matthaeum, op. V, ed. Marietti str. 77) *).

Zdawałoby się, że jest to wszystko tak jasne i zrozumiałe i zachęcające...

A jednak...

(*Dok. nast*). *Stan. Skierczyc*

Garść wspomnień z pobytu w Miejscu Piastowym.

(*Dokończenie*).

A mamy tych zakładów dosyć, — bo i Pawlikowice pod Wieliczką i Berteszów i Dziatkowicze i Struga pod Warszawą i Lwów i Kraków i w samej Warszawie na Mokotowie i jeszcze zdaje się nowe przybędą w najbliższej przyszłości, które będziemy musieli przyjąć.

Zamyśliłem się znowu... Cóż to za dziwni naprawdę ludzie... Pieniędzy nie mają, walczą z formalnym niedostatkiem a mają taki rozmach, taką odwagę brać na swe barki coraz to nowe rzeczy i doskonale je prowadzić.

---

*) Przytaczam za ks. drem K. Kowalskim („Odrodzenie nasze w miłosierdziu" — Ruch Charyt., Poznań, rocznik 1933).

Ale nic dziwnego, że musi tu być skromniej niż gdzie indziej. Może i oni potrafiliby urządzać luksusowe instalacje — wykańczać i ozłacać na zewnątrz, aby się lepiej to, co jest, — świeciło... błyszczało. Ale tyle sierót w Polsce... takie masy nieprzejrzane dzieci opuszczonych, biednych, zaniedbanych. Czy jest dobrą rzeczą dawać jednym więcej niż konieczne a o drugich nie myśleć zupełnie?

Toteż spadkobiercy duchowi śp. Ks. Markiewicza zawiadujący odziedziczoną po Nim puścizną trzymają się Jego zasady, że raczej być powściągliwym jak najbardziej w wydatkach niekoniecznych a rozszerzyć jak najbardziej ramy wydatków niezbędnych, aby móc się zaopiekować i móc pomieścić jak największą ilość młodzieży. Stąd ten wzrost i rozwój instytucji przy równoczesnych brakach.

Weszliśmy do jednej z klas szkoły powszechnej, gdzie odbywała się właśnie nauka. Uczy, objaśnia, przepytuje młody asystent. Dzieci odpowiadają rozumnie, spokojnie, inteligentnie. Czytają gładko. Rachują, wykonują skomplikowane działania stosunkowo dość biegle. Odpowiedziami, jakich mi udzielał jeden ze starszych chłopców z zakresu matematyki i fizyki, byłem wprost zdumiony. Znać było, że nie tracą czasu, że uczą się naprawdę. W klasie spokój, uwaga skupiona... czysto... porządek. Wstają na powitanie i witają słowami »Niech będzie pochwalony«... tak samo żegnają... bardzo to miłe i naprawdę ładne.

Zwiedziłem kilka sal, gdzie chłopcy mają swe sypialnie. Wszędzie wzorowy porządek. Łóżko obok łóżka w odstępach jak pod cyrklem wymierzonych... wszystkie łóżka porządnie zasłane... sienniki dobrze wypchane... na siennikach prześcieradła, koce, białe poduszki...

Byłem też obecny przy lekcji śpiewu... Chłopcy doskonale czytają nuty.. śpiewają na głosy... każdy zna na pamięć swój tekst, — trafiają doskonale na ton — tercje, kwarty, kwinty — to dla nich nie nowość... Kształci ich, pracuje nad nimi młody, jeszcze nie wyświęcony kleryk, pełen życia, radości i zapału...

»Najgorsze — powiada — nie ma komu nam nut przepisywać... A trzeba ciągle dużo nut — trzeba dzielić na głosy, trzeba przepisywać... nauczyłem paru chłopców i piszą nieźle — ale tak powoli to bardzo idzie... Może pan nam pomoże, jeżeli pan ma czas?«...

— Pomogę, pomogę, naturalnie — tylko niech przyjdę trochę do siebie.. Niech ochłonę z tylu nowych wrażeń!... Któż by nie pomógł?...

Następnie zwiedziliśmy wytwórnię dekoracji (w Zakładzie jest sala duża na przedstawienia i wieczorki — mieści się pod kaplicą — w parterze) — jest to właściwie pracownia malarska z podkreśleniem działu dekoracyjnego prowadzona przez młodego adepta sztuki malarskiej, bardzo utalentowanego i wykazującego niezwykły wprost w kompozycji rozmach a w kolorycie śmiałość utrzymaną jednak w należytych granicach .. Niektóre z rysunków wychodzą poza ramy przeciętnej banalności i mogłyby stać się podłożem do stworzenia dzieł naprawdę wysoce artystycznych... Szkoda, że p. W..., autor tych prac, nie może kształcić się w Akademii i rozwinąć swego prawdziwego talentu... Opodal rozlegają się basowe dźwięki helikonu czy innego jakiegoś »puzonu«,

pomieszane z dźwiękami klarnetu, fagotu i trąbki... Aha! to orkiestra ćwiczy... Przygotowują fanfarę na trzeci maj... bo wtedy wystąpią uroczyście w szeregach i odegrają swój przećwiczony już starannie repertuar...

Z tarasu widać plac, na którym młodzież ustawiona w czwórki odbywa jakieś ćwiczenia wojskowe... A to co? — zapytuję... To musztra codzienna — to ćwiczenia naszego P. W. — mali chłopcy należą do harcerzy — więksi do Strzelca... jest więc i sport i dbałość o fizyczne wychowanie młodzieży...

Z kolei zwiedzamy warsztaty... Więc najpierw introligatornia i wyroby galanteryjne, — słynne dziś już w całej Polsce wyroby Miejsca Piastowego... Torebki damskie, pularesy, portmonetki, walizki, nesesery, — różne ozdobne drobiazgi, — piękne, kunsztownie sporządzone poduszki ze skóry, ramki, teczki, artystycznie wykonane oprawy książek... Cała fabryka, w której pracuje kilkudziesięciu ludzi... właściwie — pardon! — kandydatów na ludzi, bo są i malcy między nimi...

W stolarni, którą kolejno zwiedzamy, — świst, zgrzyt heblarek, wiertarek, — przeróżnych kręcących się, śmigających potworków, które tną, rżną, krają, gładzą — a wszystko na popędzie motorowym — wszystko w ruchu — wszystko gra i śpiewa... Tu wykańczają okna, drzwi, boazerje... Tu znowu sporządzają eleganckie meble... To dla Zakładu — tamto na zamówienie — ale przy jednym i przy drugim dobrze trzeba się namęczyć, zanim oko się uraduje gotowym dziełem a serce odczuje zadowolenie z porządnie wykonanej pracy...

Ze stolarni powędrowaliśmy do ślusarni — jako że te dwa działy wzajemnie się uzupełniają i stanowią właściwie główny trzon rzemiosła zakładowego.

Hala ogromna w parterze pełna furgoczących, rozchichotanych maszyn — tylko tempo tu może jeszcze ostrzejsze — jeszcze bardziej raźne niż w stolarni, — no i praca może cięższa, trudniejsza... Oglądałem rozebrane na części samochody, których naprawa i montaż doskonały należą do specjalności Zakładu... Toteż naprawy i to dosyć liczne na zewnątrz są na porządku dziennym. Każda partia chłopców ma swój przydział — i każdy poszczególny chłopiec jest stale zajęty... Nie ma czasu na odpoczywanie ani zamyślanie się... Praca zaczyna się po śniadaniu rano i trwa aż do wieczora (z przerwą w południe na posiłek) a czasem, gdy trzeba i do późnej nocy. Nikt jednak nie narzeka na przeciążenie, — nikt nie jęczy, nie skarży się, nie biada — twarze wszystkie rozpromienione, wesołe — oczy aż płoną od ożywienia...

Byliśmy i w kuźni, gdzie oglądałem doskonałe urządzenia do samorodnego spawania meteli. . Mają być pierwszorzędne i cieszą się wyrobioną sławą w szerokiej okolicy...

Po zwiedzeniu jeszcze młyna, w którym przerabia się codziennie poważne ilości zboża na produkty przemiału, — oraz elektrowni zasilającej w prąd wszystkie warsztaty i instalację oświetleniową — przeszliśmy do drukarni, która stanowi prawdziwą chlubę Zakładu i zdobyła sobie już w Polsce swój zasłużony rozgłos. Widziałem, co się tam i jak drukuje, i mogę stwierdzić, że jest naprawdę radosnym faktem, iż drukarnia w Miejscu Piastowym dostaje zamówienia z całej Polski — nawet z takich miast, jak Lwów, Kraków i sama Warszawa, — i wykonuje je naprawdę bardzo solidnie... Nie przypuszczałem

nigdy, aby w tym odległym od centrów naszego kraju — cichym i spokojnym zakątku mogło wrzeć tyle życia — mogło ono naprawdę tak tętnić i pulsować..

Osobno w budynku głównym w parterze mieści się administracja i ekspedycja wydawnictw Zakładów M. Piastowego, gdzie w jednej dużej sali porządnie i solidnie poskładano wszystkie te wydawnictwa w olbrzymich szafach dla utrzymania w ciągłej ewidencji, — w drugiej zaś takiej samej prawie sali prowadzi się korespondencję, wysyłkę i segregowanie druków oraz potrzebne na nich adnotacje...

Wreszcie zwiedziliśmy warsztaty szewskie i krawieckie, o których już rozpisywać się nie będę, bo przyznam się, że od tych wszystkich rzeczy naraz powstał w mej głowie taki chaos, że długo ochłonąć nie mogłem, zanim się te wrażenia jakoś w głowie mej uporządkowały i ułożyły... Dodam tylko, że Zakład posiada jeszcze ogromną, w największym porządku utrzymaną bibliotekę zawierającą dużo dzieł naprawdę bardzo cennych i to ze wszystkich prawie działów literatury i wiedzy, — że jest w Zakładzie świetlica, gdzie chłopcy schodzą się po pracy całodziennej i grają w warcaby czy szachy oraz słuchają doskonałego radia, — że wreszcie cały labirynt ciekawych zagadnień kryje w sobie dział gospodarczy — z inspektami, pasieką, ogrodnictwem i sadownictwem — ale o tym wszystkim trzeba by naprawdę książkę całą napisać, aby to wszystko odtworzyć, co jest godnego do zapamiętania...

Odkładam to więc na razie na inne czasy...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

A potem przyszedł dzień za dniem — dzień za dniem — ciągle i zawsze taki sam, pracowity, znojny — tylko przerwami krótkiego wypoczynku urozmaicony. Miałem dobrą sposobność przypatrzeć się życiu zakładowemu... Rano dzwonek — modlitwa — śniadanie — nauka, praca — obiad, — znowu nauka, znowu praca — dopiero po wieczornym posiłku dłuższa rekreacja — potem modlitwa wspólna w kaplicy i spać! O godz. 9 wieczór światło wszędzie samo gaśnie i choćby kto chciał jeszcze coś robić, to nie może, bo pora na pracę się skończyła — nadszedł czas spoczynku... Jakżeż mądry, jaki racjonalny jest taki podział dnia, — jaki zgodny z naturą, — jaki przede wszystkim dla zdrowia naszego pożyteczny... Toteż nic dziwnego, że wszyscy są tu zdrowi...

Prosiłem, aby mi przydzielono też jakąś pracę... Nie chciałem siedzieć bezczynnie — tym bardziej, że bezczynność najwięcej może męczy i nudzi...

Ksiądz Dyrektor ciągle mi obiecywał: Dobrze... dobrze... ale teraz nie mam czasu — brewiarz...

Traktowano mię koniecznie jako gościa i nie pozwolono mi mieszać się do niczego... Może i słusznie, — bo i co ja — taki laik, który się przecież na tych wszystkich rzeczach rozumie tylko całkiem powierzchownie, — mogłem im dopomóc... Najwyżej spowodowałbym może zamieszanie w tym doskonale funkcjonującym mechanizmie...

Toteż musiałem być posłusznym i siedzieć spokojnie w wyznaczonym mi pokoju, przy czym miałem czas poważnie zastanowić się nad życiem świata i moim, nad moim do niego stosunkiem i tymi wszystkimi problemami, które nazywamy „zasadniczymi problemami życia“...

Poświęciłem też dużo czasu lekturze — głównie pism śp. ks. Bronisława Markiewicza, których jest tu tyle, że gdyby nic innego nie było prócz tych pism, to przez długie miesiące na brak lektury nie można by się uskarżać...

Był to nie tylko wielki nauczyciel, pedagog, wychowawca — ale był to i prorok natchniony, który widział doskonale — jak Piotr Skarga — wszystkie wady swego narodu pozostającego już w niewoli — i przepowiadając najwyraźniej zmartwychwstanie Polski i okoliczności, wśród których to nastąpi, — nawoływał przede wszystkim do cnotliwego, uczciwego życia — zachęcał wszystkich do pożytecznej dla społeczeństwa w każdej dziedzinie pracy, — miał ustawicznie na oku dobro ogółu polskiego, — dążył świadomie do utrwalenia dobrobytu śród wiejskiego ludu, sam znosząc cierpliwie wszelki niedostatek i biedę, — skoro o to chodziło, aby dać dobry przykład do naśladowania, aby służyć wzorem dla tych maluczkich ukochanych... Zacytuję tu z broszurki, która wyszła w Krakowie jeszcze w r. 1908 nakładem Księgarni Gebethnera i Sp.*) — parę zdań, które najwymowniej oświetlają ten czysty jak kryształ charakter, tę miłość wielką Jego do ludzi, to bezgraniczne wprost poświęcenie...

Po objaśnieniu pewnych dat dotyczących życia tego świątobliwego Kapłana-Polaka (urodził się w r. 1842 w Pruchniku w b. Galicji — szkoły niższe i gimnazjum ukończył w Przemyślu — wyświęcony na kapłana 1867 — studiował dalej na wydziale filozoficznym Uniwersytetów we Lwowie i Krakowie — w r. 1882 mianowany profesorem teologii pastoralnej w semin. duch. w Przemyślu — wyjeżdża w r. 1885 do Włoch, gdzie w San Benigno Canavese wstępuje do Zgrom. Zak. św. Jana Bosco — 1887 składa śluby zakonne — a w r. 1888 wskutek choroby piersiowej, na jaką zapadł, — zmuszony do powrotu do kraju, otrzymuje parafię w Miejscu obok Krosna (dzisiejsze Miejsce Piastowe) — i tam zabiera się zaraz do ulubionej swej pracy nad wychowaniem młodzieży) — po zapodaniu paru najważniejszych dat z życia tego naprawdę wielkiego, opatrznościowego działacza społecznego i myśliciela — kreśli autor w ten sposób początki Jego żmudnej i ciężkiej pracy na niwie wychowawczej:

„Przy końcu kwietnia tj. w parę tygodni po przybyciu przyjmuje na wychowanie sierotę Jędrusia. A jakie to były początki, świadczy to, iż całe posłanie wychowawcy i wychowanka składało się z dwu sienników położonych na wilgotnej podłodze i z czterech prześcieradeł, — a było wtedy bardzo chłodno. Z każdym miesiącem, następnie z każdym rokiem wzrastała liczba wychowanków — tak, iż na początku r. 1897 było ich już przeszło sześćdziesięciu. Mieszkali oni w plebanii i w kilku najętych chatach na wsi. Cała ta gromadka — nie wyłączając wychowawcy — żywiła się na wzór włościan swej parafii. Nieraz wychowankowie budzili się, mając na łóżku śnieg, — a aby się umyć, musieli lód rozbijać pięścią a niekiedy i siekierą. Często mieli za całe śniadanie w czasie mrozów odrobinę zmarzniętej, kwaszonej kapusty surowej. Warunki jednak materialnego ubóstwa znikały poprostu wobec przeciwności, jakich bezustannie doznawał młody zakład od różnych władz i osób“...

*) Stefan Prószyński: Przyczynek do sprawy wychowania.

Czyż nie jest to wszystko, co w tych paru ułomnych słowach wypowiedziano, doskonałą ilustracją do oświetlenia tej wyjątkowo czystej i szlachetnej duszy, tego niezłomnego charakteru, tej niewyczerpanej, — wprost z nadludzką mocą graniczącej energii i siły woli u tego tak wątłego fizycznie i tak słabego na ciele człowieka?...

Powiedział o sobie raz Pestalozzi: »żyłem sam jak żebrak, aby żebraków nauczyć żyć jak ludzie«...

Czyż nie to samo widzimy u Ks. Markiewicza — z tą jedynie różnicą, że Pestalozzi rozporządzał dużymi środkami finansowymi przy dokonywaniu swego dzieła a Ks. Markiewicz nie tylko, że tych środków nie posiadał, ale wśród najtrudniejszych, najcięższych warunków cudem prawie zdobywać je musiał...

W roku 1897 zbudował Ks. Markiewicz w Miejscu Piastowym dom drewniany z kamiennymi suterenami, w których pomieścił całą swą ubożuchną czeladkę — (dom ten po paru latach spłonął) — w r. zaś 1898 powołał do życia Towarzystwo »Powściągliwość i Praca«, które odtąd stało się fundamentem dalszej pracy Jego na polu wychowania młodzieży... W tymże też roku rozpoczął budowę nowego dużego trzypiętrowego murowanego gmachu, który stoi do dnia dzisiejszego, — i rozpoczął wydawanie miesięcznika »Powściągliwość i Praca«, który dziś już w tysiącach egzemplarzy rozchodzi się po całej Polsce, zjednując śród jej obywateli coraz to większe szeregi propagatorów i sympatyków Jego wzniosłego dzieła...

Pracą wychowawczą w zakładach Ks. Markiewicza kierują obecnie XX. Michalici, których reguła zgodna z wskazówkami pozostawionymi przez Założyciela zatwierdzona została już za czasów polskich .. Nie wszystkim może wiadomo, że słowo »Michael« w pierwotnym swym znaczeniu zawierało synonim słów »Któż jak Bóg?« (Quis ut Deus?).

Na zakończenie tego, co tu pokrótce na podstawie zebranych dat o samym Ks. Markiewiczu pozwoliłem sobie napisać, — zacytuję jeszcze Jego własne prorocze słowa z artykułu zamieszczonego w roczniku IX miesięcznika wyżej już wspomnianego p. t. »Najpierwsza, najważniejsza i najwięcej piekąca akcja społeczna«*). Pisze tam m. i. wieszczym duchem owiany myśliciel: »... z całej duszy mojej wzywam Katolików-Polaków: wspierajcie zakłady dzieci opuszczonych już istniejące a starajcie się o wzniesienie nowych jeszcze zakładów tego rodzaju, aby nie trzeba było internatów dla dzieci zaniedbanych, które trudniej naprawić; tym bardziej, że co zepsute wyrostki... obecnie czynią, jest przygrywką do straszliwej katastrofy, która niechybnie przyjdzie na świat. Spowoduje ją powszechna wojna, w której zetrą się miliony wojsk zaopatrzone w broń straszliwie morderczą... a za nią idące bankructwo, zubożenie narodów, głód i zarazy. Wojska wówczas prawie nie będzie. Cóż tedy poczniemy wobec rzeszy ludzi wykolejonych a zorganizowanych w związku przewrotowym, gdy zabraknie wojska? Dzicz z uczuć ludzkich wyzuta rzuci się nie tylko na pałace, ale i na pomniki sztuki, — na kościoły a nawet na życie najniewinniejszych osób i wznieci pożogę, obaliny i rozlew krwi nigdy niewidziany. Nie ten więc naród zajmie w najbliższej przyszłości poczytniejsze na świecie stanowisko,

*) Nr 11 mies. »Powśc. i Praca« — z listopada 1906.

co dzisiaj ma więcej wojska i więcej złota w bankach angielskich i amerykańskich... ale ten, który będzie miał najmniej ubogich, głodnych, młodzieży opuszczonej i zaniedbanej. — A zatem wychowanie dzieci opuszczonych i zepsutych jest w czasie obecnym akcją społeczną najpierwszą, najważniejszą i najbardziej piekącą; albowiem jeżeli tej akcji należycie nie przeprowadzimy, wtedy wszystkie nasze prace i usiłowania na jakimkolwiek polu podjęte w niwecz się obrócą. Czasu nie ma do stracenia, albowiem chwila wielkiej katastrofy nadchodzącej liczy się już nie na lata ale na dni. Ci tedy, co mają środki i większe wpływy w społeczeństwie, powinni co rychlej bez odwłoki skierować swoje kapitały i zabiegi w tym kierunku, aby jak najwięcej dzieci opuszczonych wychować w duchu Chrystusowym w powściągliwości i pracy a ubogim robotnikom dać uczciwy zarobek. To jest jedynie pewna asekuracja mienia i życia ludzi możnych i ich potomstwa w czasie dzisiejszym«...

. . . .

Mój Boże!

Ileż myśli ciśnie się do naszego mózgu, gdy dziś po latach trzydziestu czytamy te słowa człowieka już nie żyjącego, który takie miał jasnowidzenie...

Czyż nie przepowiedział katastrofy dziejowej w postaci wielkiej wojny i skutków, jakie z niej dla świata wynikną? Czyż bardzo się pomylił, pisząc o tym, co po tej wojnie dziać się będzie? Czyż nie palą, nie niszczą pałaców i kościołów? Co dzieje się w Hiszpanii, co działo się do niedawna i poniekąd do dziś dnia dzieje się jeszcze w sąsiadującej z nami Rosji? — Czyż nie jest to klęska nad klęskami ta ogólna ciężka sytuacja finansowa świata, — ten niepokój, — zamieszanie i niepewność jutra, które nie chcą ustąpić?

Dodać trudno cokolwiek jeszcze do tych słów wieszczych... Uzupełnić je w jaki bądź sposób — byłoby pozbawić je ich znaczenia... Wszystko w nich powiedziane jest treściwie i krótko...

Zakończyć można by jedynie powtórzeniem tego apelu, który rozległ się na ziemiach polskich jeszcze podówczas pod trzema zaborami jęczących — wtedy, przed laty trzydziestu — i powtórzyć raz jeszcze:

»Z całej duszy wzywamy katolików-Polaków! wspierajcie zakłady dzieci opuszczonych już istniejące a starajcie się o wzniesienie nowych jeszcze zakładów tego rodzaju«!!!

Taką prośbę zanoszą XX. Michalici w każdym numerze prawie wydawanego w Miejscu Piastowym miesięcznika »Powściągliwość i Praca« — rozchodzącego się po całej Polsce — taką prośbę powtarzają w imieniu wychowywanych przez nich sierót i inne pisma katolickie wychodzące w kraju — taka prośba idzie do serc wszystkich wiernych w Polsce — dochodzi i przenika do wszystkich najdalszych zakątków kraju — puka do serca każdego obywatela — i idzie na koniec jako prośba błagalna do stóp Najwyższego, aby nie wypuszczał ze swej opieki zaczętego dobrego dzieła — aby nie odwracał od niego swojej łaskawości, — aby mu nie pozwolił rozpaść się i pójść w niwecz...

I ja tą prośbą — opuszczając te mury życzliwe, wśród których gościłem przez czas krótki, — kończę te moje wspomnienia, sądząc, że to może było najwłaściwszym zużytkowaniem spędzonego tu czasu, — jeżeli poświęciłem

trochę wysiłku umysłu mojego na poruszenie zagadnienia, o którym warto nie zapomnieć...

Może i te nieudolne moje słowa trafią gdzieś choć do jednego dobrego serca, które odczuje całą doniosłość poruszonej sprawy, — zadrga płomieniem ożywczym, — roztleje w iskrach najbardziej szlachetnego uczucia miłości chrześcijańskiej — miłości bliźniego i pośpieszy z pomocą opuszczonym maluczkim, którzy o tę pomoc tak serdecznie i gorąco proszą...

St. Sz.

Wigilijny wieczór w Zakładzie.

Dwudziestego czwartego grudnia.

Słońce spływało powoli, majestatycznie za zrąb horyzontu. I jak gdyby chcąc nagrodzić swoje mimowolne zejście, słało miliony czerwonych promieni, którymi, jakby przebogatą purpurą, okryło całą ziemię i niebo. Tymczasem wschodni skłon niebios począł przybierać naprzód odcień jasno potem ciemnofioletowy, następnie przechodzić w ciemny błękit, aż wreszcie szaro-srebrny pomrok objął tajemniczo glob cały. Tak przygotowała się natura, w całym swym przepychu i majestacie, na przyjęcie swego Twórcy.

Nadszedł zmrok. Po uśpionych w szacie zimowej zagonach, po zmożonej snem zimowym naszej ziemicy płynie spiew tęskny a jakiś dziwnie pogdny z Kaplicy Zakładowej. To „dzieci nasze“ wznoszą swe pienia, w nowennie poprzedzającej przyjście Bożego Narodzenia, do Pana nad pany, by raczył wejrzeć na nie i błogosławić.

* * *

Skończyło się nabożeństwo. „Brać nasza“ wyległa na korytarze, wypełniając je gwarem i życiem. Na obliczach wszystkich maluje się dziwna zaduma i wyczekiwanie.

Nagle odzywa się dzwonek, zapraszający do refektarza. Wchodzą. Zajmują wszyscy, w pewnego rodzaju skupieniu swoje miejsca. Ściany, ubrane zielenią i „fifraczkami“ z kolorowego papieru, oraz choinka od podłogi aż do samego sufitu, tchną uroczystością chwili. Przychodzą wszyscy starsi przełożeni i Ks. Dyrektor. Choć ich widzimy codziennie w tym samym refektarzu, razem z nami, to jednak wydają nam się jakoś inni... Dziwnie wzruszeni — poważni. I im się udzielił ogólny nastrój pewnej podniosłości.

Modlitwę odmawiają wszyscy w skupieniu. Potem zwyczajnie siadali do stołów. Dziś wszystko czeka... czeka jakby na błogosławieństwo. Nie

pociągają ich zastawione i z wyglądu apetyczne potrawy. Czekają na coś innego...

I istotnie Ks. Dyrektor leciutko dzwoneczkiem stołowym daje znać, że chce coś mówić.

Po nieśmiałym jakby bojaźliwym dźwięku dzwoneczka, zapadła uroczysta cisza.

Gdybyś wtedy był na korytarzu, to nie odgadłbyś, że tuż za ścianą bije 250 serc w podniosłym napięciu, że 250 tych młodych, wesołych potrafiło opanować swoją wylewną na zewnątrz naturę. Czekają...

„Kochane dzieci, brzmi słodko i swojsko głos Ks. Dyrektora, znów Pan, w swym miłosierdziu i dobroci pozwolił nam zejść się tu razem przy stole wigilijnym. Wyczytuję z waszych twarzy dziwną tęsknotę i radość zarazem. I nie tylko wy, ale i ja, — już stary — to samo przeżywam. Czuję, że chwila obecna jest jakąś inną, niepodobną codziennym. Żyję z wami, patrzę na was i dumny jestem z tego, że rozumiecie palec Boży nad wami i potraficie być Mu wdzięczni za Jego dobrodziejstwa. Oto podczas nowenny tłumnie szliście do św. spowiedzi, aby na jutrzejszą uroczystość przygotować odpowiednio duszę. Serce mi rosło i cieszę się, że Boża Dziecina, widząc wasze czyste serca i chęci, błogosławić nam będzie.

Dziś tyle nędzy materialnej na świecie i my ją dotkliwie odczuwamy, ale jest jeszcze więcej nędzy duchowej. Dowodzi tego dzisiejszy zamęt w poglądach, dzisiejsze bratobójcze wojny domowe — prześladowania.

My tu zebrani, jesteśmy szczęśliwi, bo jesteśmy niejako wyłączeni spod tego straszliwego utrapienia światowego.

Dziękujmy za to Najwyższemu i prośmy Go, by pozwolił nam się, w części przynajmniej, odwdzięczyć wiernym i niewzruszonym trwaniem przy zasadach wiary Jego św. w naszych myślach, naszych słowach i czynach. Czynów z wiary płynących, dziś szczególnie światu potrzeba, a my im dać je musimy. I tego po nas spodziewa się Pan. Już teraz zaprawiajmy się do życia z wiary. Niech ono płynie z najgłębszego przekonania naszego. A gdy opuścimy Zakład, stańmy przed ludźmi z naszym, wiarą przepojoną życiem, „by ludzie widzieli wasze dobre uczynki i chwalili Boga, który jest w niebiesiech". Tak spełnimy chwalebnie swe życiowe zadanie, a Boża Dziecina błogosławić wam będzie, radością spokojnego sumienia i kiedyś nagrodzi was wieńcem „niewiędnącej chwały". To jest najgorętszym życzeniem moim dla was i dla mnie... — Skończyłem".

* * *

Wszyscy siedli do stołów w cichości i powadze. To jednak długo nie trwało. Młoda natura lubi powagę i skupienie, ale i wesołość, życie, ruch. I te ostatnie wnet wzięły górę. Początkowe szmery przemieniły się powoli w ogólny gwar. „Kelnerzy" zwijają się między stołami, roznosząc potrawy.

Przyznać trzeba, że dziś spryciarzy wyznaczyli. Obsługują aż miło. Potrawy znikają szybko.

„Antek, ślusarnia dziś nie funkcjonuje, obręczy ci na żołądek nie zrobią, nie przysadzaj się tak bardzo, bo katastrofa gotowa“. „Patrz, żebyś czego nie zgubił, bo gonisz jakby ci nasolili“ odciął. Inny prosi: „Jasiu, przynieś mi repetkę: klusek z makiem!” „Szymusiu kochany, to źle działa na oczy“. „Et pleciesz, przynieś, przynieś...“ Jeszcze inny: „Józiu, kolego, może tobie czego potrzeba?“ „Aha! rychło w czas o tym pomyślałeś. Otrąbiłeś się sam, jak się patrzy i teraz dopiero przychodzisz”. „O widać, żeś za repetą gonił. No, nie martw się, bracie, będziesz lepiej za to spał“.

* * *

Po wieczerzy rozpoczęła się jedna z najpiękniejszych chwil wieczoru wigilijnego. W rękach wszystkich pojawiły się białe opłatki. Rozpoczęły się wzajemne powinszowania. Nikt wtedy nie patrzy na starszeństwo ani porządek, chwyta co bliższego. Wszystko to odbywa się w atmosferze przyjaźni, wesela ogólnego, powiedziałbym więcej, miłości i ciepła rodzinnego.

Ks. Dyrektor przedtem przemawiał do wszystkich jako przełożony i głowa Zakładu, teraz nie czeka na urzędowe deklamacje, ani wyuczone mowy, wmieszał się w tłum swych „pociech“ i „utrapieńców“ i składa im życzenia. Za nim to samo uczynili inni starsi. Co tam rozgwaru, śmiechu, szczerych a serdecznych wynurzeń wzajemnych!... W tym momencie to, co najpiękniejszego w człowieku, to wszystkich opanowywa i uszczęśliwia. Tej chwili naprawdę zapomnieć nie można. Aby ją poznać i odczuć jej piękno i wielkość, to trzeba być w Zakładzie naszym, mało na tym, żyć życiem jego, poznać jego cierpienia i radości. Ileż tam serca, szczerości, z głębi duszy płynącego zadowolenia. I to się udziela na zewnątrz. Tylko w takiej atmosferze mogą znaleźć swe całkowite ziszczenie hasła wolności, równości, braterstwa i sprawiedliwości.

Natknął się Ks. Dyrektor na 5-letniego Józia: „No, Józiu, a ty czego chcesz mi życzyć“. „A...a... zastanawia się, przewraca mądrze oczka, a... ja życzę Ks. Dyrekterowi dużo, dużo pieniądzów, by nam, malcom, kupił ubrańka i żebyśmy częściej takie wilie mieli...no...no...i żeby Bozia miała w swej opiece Ks. Dyrektora“. Łzy zakręciły się w oczach „Staruszka“. Ucałował malca. „Proś, Józiu, aby Bozia to dał. A ja tobie życzę, byś na wielkiego, wielkiego męża bożego wyrósł“. Inny, jednemu ze starszych: „życzę jak najszybszego osiągnięcia swego celu — wyświęcenia się — i później owocnej pracy nad takimi, jak ja „łobuzami“. Dziwne naprawdę, że ta młodzież często tak poważnie myśli i to przejawia w tak uroczystej chwili. Tak to „malcostwo kochane“ potrafi do serca przemówić, że nawet najtwardszego wzruszy. Nic też dziwnego, że nieraz młodzi wychowawcy wtedy to zapalają się do nowych wysiłków, do ponoszenia nowych trudów, które przedtem dobrze im się dawały we znaki.

* * *

I nie byłoby końca tym powinszowaniom, gdyby dzwonek ze sceny nie oznajmił, że za chwilkę rozpocznie nasz zespół amatorski premierę tegorocznych „Jasełek".

Przez scenę przewijają się dziarskie pastuchy, okrutny Heród, krew mrożące piekło i szatani, żłóbek.

Jeszcze nie przebrzmiały pieśni pastuszków i aniołów przy żłóbku, a już dzwon z wieży wzywa wszystkich na „Pasterkę".

To już dwunasta? A kiedyż to zleciało? pyta niejeden.

„Brać nasza" idzie do kaplicy. Niestety ludzie wypełnili ją po brzegi. Tłok straszny. Ha trudno, trzeba stać na korytarzu.

Organista wycina aż hej! Wychodzi Msza święta. Początkowe akordy skoczne i szumne poczynają przybierać inne tempo i melodię zmieniać, aż przeszły w pieśń: „Wśród nocnej ciszy". Zebrany lud, „wiara" zakładowa skwapliwie podchwycili. Taka moc i siła bije z pieśni, iż zdaje się, że szyby z ramami wypadną z okien. A odgłos, w stu załamaniach, rozchodzi się po korytarzach domu. I tak pieśń za pieśnią płynie z rozśpiewanych piersi wiernego ludu. Płyną hen ... daleko ... daleko w przestworza, do stóp tronu Najwyższego.

Msza się skończyła. Ludzie rozchodzą się do domów, a chłopcy do sypialń. Teraz się im dopiero przypomniało, że trzeba pójść spać. W 5 minut później już słodki sen otulił wszystkich w błogim ukojeniu. A zabłąkane echo pieśni nuci tak cicho... cichuteńko... gdzieś pod sklepieniem kaplicy... korytarzy: „Lulajże, Jezuniu, lulajże, lulaj... — Cyt... Cyt... niech zaśnie małe dzieciąteczko...

W. Partyga.

BRAT STEFAN.

Dokąd dążymy?

(Ciąg dalszy).

Więc ujawnianie i to w ten właśnie drastyczny sposób tych wszystkich okropieństw, zbrodni i brudów — których sprawcy mają sumienia czarne jak noc i śmieją się w kułak z tego, że się opisuje ich wielkie wyczyny — to ujawnianie i podawanie ich do najszerszej wiadomości ogółu — ma rzeczywiście taki zbawienny cel — takie doniosłe znaczenie moralne? Więc babranie w tym świństwie, w tym bagnie, w tym kale ma naprawdę uzdrowić całe społeczeństwo — ma oczyścić kraj ze zbrodniarzy — ma nawrócić na dobrą drogę tych, co się jeszcze wahają i nie wiedzą, co mają czynić? Czy nie jest szczytem perfidii i obłudy wmawiać coś podobnego w szeroki, czytający ogół — aby za cenę brudnej sensacji — za cenę demoralizacji i poniżenia maluczkich — za cenę najgorszego, szatańskiego posiewu — za cenę zbrodni dokonanej na duszach rozwijających się dopiero — uzyskać jaknajwiększą ilość sprzedanych egzemplarzy — zebrać jak najwięcej tych pięcio i dziesię-

ciogroszówek wydartych z kieszeni najuboższym, — poprawić własne bytowanie, powiększyć własny kapitał — przyśpieszyć tak upragnione bogactwo? Czy pieniądz tą drogą zdobyty nie zadusi tych, co go na tej okropnej drodze szukali — czy nie będzie im palił dłoni jak te judaszowe srebrniki — czy kara nie powinna być gorsza na tych, co to czynią — niż na tych, co sprzedają w ukryciu bardzo nie łatwo jednak dającą się zdobyć, bo dość kosztowną — truciznę w proszku?

A może powie ktoś, że przesadzamy... że tak źle nie jest... że to egzaltacja, wybujałość, przewrażliwienie... że od tego są rodzice, aby pilnowali swych dzieci — że gazety nie są dla dzieci — że pisze się dla »dojrzałych czytelników« — że zresztą każdy, kto widzi coś podobnego, powinien nie pozwolić, zabrać gazetę — może zrobić nawet doniesienie do dyrekcji szkoły właściwej?...

Otóż te wszystkie argumenta — my między bajki włożymy. A to dlatego, że po pierwsze wszyscy sobie zdajemy dziś sprawę z tego, jak trudno jest postawić ten mur między dorosłymi a dorastającymi — rzecz niemożliwa, nieprawdopodobna — nie dająca się zrealizować nigdy w życiu domowym rodzinnym — chyba, że dziecko oddamy do Zakładu wychowawczego, który będzie czuwał nad nim bardzo starannie w sposób wykluczający wszelką możliwość zepsucia... Po drugie zaś, że nie wiadomo, cui bono właściwie te rzeczy się pisze i dla kogo jest to tak potrzebne, tak pożyteczne, tak interesujące, tak zbawienne? Przecież ta strawa, którą dajemy przełykać mózgom choćby dojrzałych ludzi — powinna być jeszcze o wiele staranniej, dokładniej przygotowana niż strawa dla ludzkich żołądków! Czyż umysł dzisiejszego człowieka jest tak pojemny i tak bardzo niewybredny, że taka codzienna strawa — jeśli już nie wręcz dla niego szkodliwa — może być dla niego obojętna? Czy nie należy starannie wybierać, czym należałoby ten umysł zasilić — i wzbogacić — czy to obojętne, jaki pokarm mu dajemy? Czy krowa, dla której starannie dobieramy paszę — czy ziemia, której z całą pieczołowitością dodajemy przeróżne składniki chemiczne, aby lepiej rodziła — więcej zasługują na uwagę niż mózgi ludzi żywych stanowiących podwalinę społeczeństwa, fundament wszelkiej państwowej pracy — opokę dla bytu rodzin — rozwoju postępu i prawdziwej cywilizacji? Czy prawdziwą i najgorszą truciznę mamy wlewać bezkarnie w mózgi ludzkie jako symbol nowoczesności naszych pojęć, swobody myśli, rzekomej wolności ducha?

A ta cała literatura dworcowa, te wszystkie książki w żółtych i pomarańczowych okładkach — te »Złamane serca«, te »Pokutujące grzesznice«, te »Tajemnice pokoju № 101« — te »Wyspy zbrodniarzy« — te »Fatalne perły« i niezliczona, nieprzebrana mnogość tytułów, których spamiętać nie jest nikt w stanie — czy to może taki pokarm doskonały dla tych biednych ludzkich umysłów szukających ratunku w drukowanym słowie przeciw marazmowi współczesnego życia?

Dobre, mądre, pożyteczne książki leżą lata całe na półkach księgarskich a potem idą hurtem do antykwarni albo na makulaturę, bo nikt ich nie kupi... Natomiast śmiecie rozchodzi się w tysiącach egzemplarzy i lęgnie się coraz to nowe, coraz to w innej formie, karmiąc duszę zbiedzonego człowieka, który wszczepia w siebie ustawicznie najgorszą truciznę i nie zdaje sobie nawet sprawy ze swojego stanu duchowego, z tego zupełnego upadku i zaniku, w którym się powoli pogrąża... Żadnej jednak książki — choćby najzgubniejszej — nie można pod względem stopnia szkodliwości porównać ze złą prasą — książka bowiem choćby najdostępniejsza jest zawsze czymś niecodziennym — jest zjawiskiem sporadycznym w życiu dzisiejszego człowieka — prasa natomiast jest tym chlebem powszednim, z którym wsącza się do serc ogółu w bardzo dużej mierze do umysłów młodzieży najgorsza trucizna...

Więc wołamy o kolaborację na tym polu między społeczeństwem a szkołą — wołamy o pomoc, wołamy o ratunek!... I gdybyśmy z rodzicami tej młodzieży, o którą przede wszystkim chodzi, mieli plebiscyt w tej sprawie urządzić i mieli s ę oni oświadczyć, czy zrezygnują z tych wszystkich ponurych sensacji dziennikarskich i będą się zadowalać informacjami bardziej spokojnymi, pożytecznymi i bardziej szarymi czy też żądają, aby pisano bez wyjątku o wszystkim — w kolorach jak najjaskrawszych i formie najbardziej pobudzającej — to z pewnością ogromna większość zawołałaby: »Nie chcemy takiej prasy! Precz z lubowaniem się w brudach życia! Chcemy zachować i ratować dusze naszych dzieci!...«

Tak przypuszczamy i tak wnioskujemy na podstawie tego, co mówi otaczające nas życie...

Gdyby jednak nawet plebiscyt miał wypaść inaczej — gdyby nawet ogromna większość miała zawołać: »Precz z rękami od wolności prasy! Precz z wszelkimi kagańcami! Żądamy zupełnej wolności drukowanego słowa! Nie pozwolimy ograniczać panów wydawców i redaktorów w ich prawach uświęconych konstytucją!«... to my zawołamy: »Precz z taką prasą!.. Precz z wszelkim brudem!« I krzyk nasz podniesiemy choćby miał być bezskutecznym dzisiaj i bezskutecznym jutro, bowiem wierzymy, że nadejść musi dzień taki, w którym ockną się ci, co mają rząd dusz — i nie pozwolą, aby dusze szły na zniszczenie przez naszą nieudolność, przez naszą niezdarność, przez naszą pseudotolerancję!

Senzacje dziennikarskie o charakterze kryminalnym — można, jeśli już bez nich gazeta obyć się nie może — ograniczyć do krótkich, suchych wzmianek bez rozpisywania się o drastycznych szczegółach. Nie musi się im dawać nagłówków bijących poprzed wszystkim innym w oczy... Nie musi się im poświęcać aż tyle miejsca.. Jeśli nie ma o czym pisać w gazecie, to lepiej nic nie pisać, niż tak pisać... Jeśli komuś w ogrodzie nie chcą rosnąć róże — czy wynika z tego, że winien posiać chwasty i pokrzywę? Trudno jednak przypuścić, aby naprawdę nie było o czym innym pisać!...

Tematów aż nazbyt wiele — tylko może mniej popłatnych, może mniej dostosowanych do dzisiejszego gustu czytelnika... Skoro jednak stwierdziliśmy

z całym przeświadczeniem o prawdziwości poczynionych spostrzeżeń, że ten gust jest nie tylko zły, ale i szkodliwy — to nie mamy prawa powoływać się na ten właśnie gust... Prasa — to świadome siebie istnienie, które za rękę prowadzi cały ludzki ogół... Jeśli tego celu nie spełnia jak należy, — jeśli go spełnia źle i niesumiennie, staje się nie tylko zbędna, ale wprost szkodliwa — i należy tej szkodliwości starać się wszelkimi możliwymi środkami zapobiec. W jaki sposób, — w jakiej formie, — w jakich rozmiarach, nie naszą tu rzeczą wskazywać inicjatywę ciałom ustawodawczym, komisjom sejmowym, odnośnym czynnikom rządowym. Stwierdziliśmy jedynie fakta domagające się natychmiastowego, jak najszybszego zaradzenia złemu. — Wołamy o ratunek S O S.!

A te wszystkie okropności o rafinowanych mordercach, makabrycznych samobójcach, krwawych masakrach, sensacyjnych oszustwach etc., jeśli stanowią dla kogoś tak cenny materiał do rozważań — można drukować w specjalnych miesięcznikach i kwartalnikach z zakresu psychiatrii i kryminologii, aby stanowiły przyczynek do badań dla uczonych prawników i lekarzy...

Drugą sprawą, która spowodowała te roztrząsania, — jest teatr świetlny, kino...

O ile gazeta naszpikowana makabrycznymi sensacjami stanowi truciznę codzienną, zwykłą, nie wywierającą już prawie wrażenia na tych, co się z tą treścią oswoili, — o tyle wpływ ekranu w połączeniu z odpowiednim tekstem scenariusza, fotosami umieszczonymi w specjalnych szafkach na widok publiczny nieraz treści najbardziej pikantnej i całym tym tak niezbędnym aparatem reklamy codziennej jest o wiele silniejszy... Ryje wprost jakieś nieprawdopodobne kształty nie tylko w duszach dorastającej młodzieży, ale urabia poniekąd nawet całe ich nastawienie myślowe, nadaje piętno ich zachowaniu, gestom, ruchom, — ich formie podejścia do świata i ludzi — pozostawia głębokie i niedające się niczym zatruć ślady na ich całej psychice.. kino działa równocześnie optycznie i akustycznie... działa tak oszołamiająco, że nieraz widzi się ludzi starszych, poważnych wychodzących z kinoteatru w jakimś dziwnym podnieceniu — są ludzie rozmiłowani w kinie do tego stopnia, że wydaje im się niemożliwym żyć bez ekranu... nie wypuszczą jednego programu, komentują, tłumaczą, interpretują, objaśniają... Żaden wielki wynalazek ludzkości, żadne największe dzieło charytatywne, żaden wyczyn na polu czy to architektury czy malarstwa, czy rzeźby nie spotka się z takim entuzjazmem, z takim aplauzem, z takim gorącym przyjęciem jak najgorszy nawet pod względem swej etycznej wartości scenariusz filmowy, w którym występuje sławna gwiazda X czy gwiazdor Y...

Gwiazdor!.. Piękne słowo na oznaczenie w rodzaju męskim na ekranie tego, co pod zwykłą swą postacią rozjaśnia ciemności nocy!... Gwiazdor... czyż może dla młodzieniaszka o fantazji nieco rozwichrzonej, — o wrażliwej a mało odpornej psychice słowo jakie mierzyć się z tym słowem pod względem znaczenia i specjalnej mocy..

Zostać »gwiazdorem« kinowym to w jego wyobraźni zostać wybrańcem losu... Tak się czesać jak Clark Gable — tak się poruszać jak Henry Sharp, — tak się ubierać jak Charlie Torres, — tak się śmiać jak Herbert

Long, -- tak jeść jak Bobbie-Bobbes — oto, czym jest zabita głowa takiego studencika, który powinien kuć matematykę, chemię i przyrodę — a zamiast tego »odkuwa« jakiegoś »gwiazdora«.. uczy się go poprostu na pamięć... Zastraszająca jest ta kinomania u dzisiejszej młodzieży... Trzeba ich podpatrzeć, podsłuchać, gdy są sami z sobą... nie trzeba kina — są to istne przedstawienia... dziewczynki to samo... są takie, które mają całe kosztowne kolekcje wszystkich możliwych zdjęć wszystkich gwiazd filmowych we wszystkich ich rolach... na zeszyty nieraz brakuje, na potrzebną książkę — ale gwiazdy muszą być w komplecie... Tym się żyje, o tym się myśli we dnie i w nocy i w czasie nauki i przez dzień cały... I cóż dziwnego, że w szkole bywają słabe postępy, skoro umysł zaprzątnięty czym innym... niewolniczym naśladowaniem paru pajaców i kilkunastu zmanierowanych pseudoksiężniczek, które w Holly-vood — czy gdzieś pod modrym niebem Argentyny albo jakiegoś innego Meksyku potrafiły w oślepiający podziw wprowadzić zblazowanego gangstera czy zwariowaną miliarderkę... I to są wzory do naśladowania... to są namiastki tych dawnych »viri clarissimi« — tych bohaterów starożytności — tych Horacjuszów i Mucjuszów, na których żywotach kształciła się ongiś młodzież...

Nie chcemy bynajmniej cofnąć ani o jedną minutę wskazówki na zegarze prawdziwej kultury świata.. Nie dążymy do tego bynajmniej, aby napychać głowę młodzieży niepotrzebnym balastem starożytności... Owszem usuńmy — jeśli już tak ma być — całą tę »helleńskość« ze szkół naszych i cały »klasycyzm« a stwórzmy dobre, własne, rodzinne wzory do naśladowania, których chyba nie powinno zabraknąć Ale na miły Bóg nie twórzmy namiastek tej prawdziwej, wielkiej, starożytnej kultury w takich kilku erotycznych postaciach ekranowych, poza którymi przesuwa się zupełnie od nich z dala ciężar współczesnego życia i walka o wielkie walory, jakie należałoby zdobyć, aby z tego życia uczynić naprawdę coś wielkiego i godnego naśladowania... Przecież to jest całkiem zwykły upadek ludzkości, jeżeli bohaterowie ekranu mają zostać uwiecznieni jako wzory do naśladowania w umysłach naszej młodzieży.

Znowu ktoś powie, że to może potrzebne, aby rozprószyć szarzyznę dzisiejszego życia.. Że to nawet konieczne, bo to podnieca i dopinguje, dodaje wiary we własne siły, umacnia i pokrzepia...

Nigdy nie zgodzimy się na tego rodzaju postawienie sprawy. Uznajemy ekran jako jeden z doskonałych elementów wychowawczych, którego wpływ na formowanie ducha młodego pokolenia mógłby być przepotężny, gdyby jednak był sprowadzony na właściwe tory. Za przykładami nie należy daleko szukać... Wystarczy spojrzeć na stosunki pod tym względem u naszych sąsiadów ze wschodu... Cała propaganda, cały wysiłek umysłu skoncentrował się u nich właśnie w tych ramach. Ale trzeba opanować ten teren, trzeba go zasilić odpowiednią treścią dostosowaną do naszych potrzeb duchowych — do naszych ideałów społecznych, kulturalnych, wychowawczych... Wtedy rzeczywiście będzie ekran spełniał swą rolę, będzie pobudzał, dopingował, dopomagał w wielkim dziele rozwijania kultury narodowej — ale nie będzie z naszych młodzieńców i naszych dziewcząteк stwarzał śmiesznych, zmanierowanych pajaców i lalek, poruszających się jak na sznurku, śmiejących się dziwnym, nienaturalnym śmiechem, stąpających po naszej twardej, czarnej ziemi jak po obłokach »modrego nieba Argentyny«... (*Dok. nast*).

Z kroniki domowej.

Towarzystwo Świętego Michała Archanioła i jego Zakłady sieroce w 15-tą rocznicę zatwierdzenia*).

Miłe i podniosłe chwile przeżywało całe Zgromadzenie nasze w dniu 29 września w uroczystość swego Patrona, Św. Michała Archanioła, a zarazem w piętnastą rocznicę zatwierdzenia swego przez władze duchowne, jako Zgromadzenia Zakonnego.

Święto a zarazem doroczny odpust w nowej naszej świątyni Królowej Korony Polskiej — skupia i gromadzi, przynajmniej myślą, u grobu świątobliwego Założyciela i u stóp ołtarza Świętego Archanioła w Miejscu Piastowym wszystkich Członków i Wychowanków, — wszystkich Przyjaciół i Członków Wspierających tego »Dzieła Bożego« jak je śp. Ks. Markiewicz nazywał.

Bywali tu w tej polskiej kolebce — opatrznościowego Męża Polski najpierw ci, których przemoc wrogów-zaborców tu zagnała, którzy stali się jego współpracownikami na niwie sierocej i dotąd trwają wierni choć już posiwiali na swoich placówkach, inni, — którzy we wolnej już Ojczyźnie pozajmowali nieraz wybitne i poważne stanowiska, wreszcie tacy, których zagnało ich powołanie aż za ocean i którzy tam prowadzą z pożytkiem dla narodu swą zbożną pracę — wszyscy spotykali się tu nieraz przy tym świętym zniczu, u którego znajdywali ratunek i pociechę w niebezpieczeństwach, uciskach swoich i troskach... I to tak byli wychowankowie jako też całe szeregi tych opuszczonych, — tych wydziedziczonych... Wielu ich tu było licząc od roku 1892... A iluż biedaków i nędzarzy już tu w tułaczej swej pielgrzymce ręce wyciągało i otrzymało ten podzielony sierocy kawałek chleba... o ile go starczyło! Aniołowie tylko chyba prowadzą odnośną statystykę... Świat o tym mało wie, lecz wiedzą ci potrzebujący.

Więc, gdyby wszystkim tym tysiącom byłych wychowanków i tym, którzy w Miejscu Piastowym u Ks. Markiewicza i XX. Michalitów pomocy i łaski już zaznali, wiadomo było o wspólnej radosnej uroczystości i możność mieli przybycia — zapewne mury tego »Zamku Św. Michała«, wszystkie poddasza i place pagórka Zakładu zapełniłyby się gośćmi z całej Polski i krajów świata. Tak — jak to bywało w lecie, — gdy Zakłady tutejsze — mimo słabej i niechętnej reklamy — zasypują liczne wycieczki szkół i gości kąpielowych, — zdrojowych i przeróżnej

---

*) Kronika ta miała być zamieszczona jeszcze w poprzednim numerze (październikowym) — z powodów jednak od Redakcji niezależnych uczynić tego nie mogliśmy, co zresztą na pierwszej stronie (przed tekstem) odnośnego numeru wyraźnie zaznaczyliśmy.

Dostała się do tego numeru świątecznego i uważamy, że będzie ona niejako uzupełnieniem tych uczuć naszych i myśli najdroższych i najserdeczniejszych, którymi z okazji Święta Narodzenia Chrystusa Pana chcielibyśmy się z naszymi drogimi Przyjaciółmi i Czytelnikami podzielić.

klienteli: drukarskiej, introligatorskiej, galanteryjnej, krawieckiej, ślusarskiej, kowalskiej, stolarskiej itp. Nie brakło bowiem i najwyższych dostojników, zaszczytnie zawsze witanych, w murach tego Zakładu jak: Arcy-



J. E. KS. BISKUP FRANCISZEK BARDA.

pasterze Kościoła aż do samego J. Em. X. Prymasa Polski obecnej, — premierów, ambasadorów, generałów, ministrów Państwa naszego aż do samego Pana Prezydenta R. P. chlubnie w księdze pamiątkowej Twa

i Zakładów w Miejscu Piastowym wpisanych i uwiecznionych w wydawnictwach »Michalineum«.

Z rozmów i życzeń niejednokrotnie ujawnionych wynika, jak bardzo każdemu ze zwiedzających Protektorów zależało i zależy na dopomaganiu sprawie sierocej, tej najbardziej ludzkiej i boskiej sprawie i na rozwoju Towarzystwa i jego Zakładów wychowawczych i wszelkich ku temu pomocach.

Jednak kryzys i inne troski niejednemu nie pozwoliły realnie o tym dziele pamiętać. — A Zgromadzenie przeciążone troską o byt dziatwy przyjętej na wychowanie może za słabo i za mało się przypominało



J. E. Ks. Biskup Barda wśród wychowanków zakładu w Miejscu Piastowym.

swym bez wątpienia zawsze dobrym i życzliwym Przyjaciołom i Dobroczyńcom. — Jednak sprawa sama i czasy nie przestały dla najbiedniejszych wołać głosem potężnym: Dziecko biedne i głodne jest pierwsze!

Jako Opiekuna sierót z tych racji witało Towarzystwo i Zakłady Michalickie w dzień Św. Michała Archanioła swego Arcypasterza J.E. Ks. Biskupa Fr. Bardę, Ordynariusza Przemyskiego. Przyjechał celebrować sumę i pobłogosławić przełożonych, pracowników, dziatwę i lud, nad którym też Zgromadzenie pracuje. Była godzina 10 3/4. Mimo zimna wita Arcypasterza całe Zgromadzenie u bramy powitalnej z Duchowieństwem okolicznym i młodzież z orkiestrą: Ks. Rektor zaintonował Książę Niebieski i wszedł Arcypasterski orszak w progi Kościoła Najśw. Marii P. Królowej Polski. Rozległa się potężna nuta hymnu »Ecce Sacerdos Magnus«, odśpiewana przez chór zakładowy. Od ołtarza po modłach i hymnie o N. M. Pannie przemówił do J. E. Ks. Biskupa ks. Rektor Generalny, witając Arcypasterza. Składał dzięki Najwyższemu za otrzy-

mane dotychczas łaski i dobrodziejstwa doznane w okresie 44 letniego istnienia Zakładu a 38-miu lat rozwoju Towarzystwa »Powściągliwość i Praca«, które przed laty 15 w swym całym ówczesnym składzie zostało przez Kościół zatwierdzone jako Towarzystwo Św. Michała Archanioła. — W tę to radosną rocznicę wspomina się wszystkie złe i dobre chwile — wszystkie trudności i zwycięstwa całej tej sprawy bożej — wiążącej się nierozłącznie z świetlaną postacią śp. Ks. Bronisława Markiewicza.

Wspomniał więc ks. Generał o tym, że szerokie sfery społeczeństwa pomne na wielki trud życia, zapał do spraw bożych i nadzwyczajne wyniki, jakie w tak krótkim stosunkowo czasie uwieńczyły wysiłki Jego na polu dzieła wychowania młodzieży — domagają się Jego beatyfikacji — a nasze własne głębokie, o słuszności tej sprawy, przeświadczenie zmusza nas prosić o wszczęcie formalnych kroków w tej sprawie, — tym bardziej, że w dniu 29 stycznia 1937 r. wypada 25-ta rocznica śmierci tego świątobliwego Kapłana, Wychowawcy i Myśliciela.

Ksiądz Generał podkreślił w dalszym ciągu swego przemówienia znaną już powszechnie dobroć serca naszego ukochanego Arcypasterza w szczególności jako Przyjaciela i Opiekuna dziatwy i młodzieży i polecił gorąco Jego czułej opiece losy naszego Towarzystwa i Zakładu. Musimy bowiem walczyć z tysiącznymi trudnościami i zmagać się z nędzą sierocą, która narosła skutkiem wojny i anormalnych stosunków, w jakich dziś wszyscy żyjemy, — i która głośno o ratunek woła, podczas gdy my sami zażegnać jej nie jesteśmy w stanie, jakkolwiek przesiąknięci jesteśmy głębokim odczuciem potrzeby Zakładów sierocych i katolickiego wychowania młodzieży. Przepojeni jesteśmy zasadami miłosierdzia chrześcijańskiego, pragnęlibyśmy te zasady jak najdoskonalej i w najszerszym zakresie w czyn wprowadzić, zaszczepiamy więc te zasady w społeczeństwie i staramy się wszędzie je krzewić — ale tyle trudności piętrzy się przed nami, że czasem nam ręce w tej pracy opadają. — Dziś może bardziej jeszcze niż w czasie innym wypada nam zająć się wychowaniem przyszłych kapłanów, nauczycieli, wychowawców, — stanowimy bowiem tę awangardę, w którą walą i na którą nacierają wszystkie złe siły tego świata. Nasz śp. Założyciel upomina nas tam z zaświatów i wzywa do tej pracy, do wytężenia sił naszych wszystkich, aby dziełu przez Niego zapoczątkowanemu nie pozwolić zmarnieć. Toteż nie będziemy ustawać w pracy, nie będziemy szczędzić wysiłków i trudów, aby tylko sprostać choć w części naszemu zadaniu i zdać kiedyś z tej pracy rachunek przed Bogiem. Ufamy w Opatrzność Boską i losy Towarzystwa i naszych zakładów w Jej ręce składamy a Najdostojniejszych naszych Protektorów o życzliwą opiekę prosimy kornie i o błogosławieństwo dla pracy naszej...

Po udzielonym przez J. E. Ks. Biskupa błogosławieństwie, w czasie

którego głęboka cisza panowała w świątyni, rozpoczęła się solenna Msza święta celebrowana przez samego Arcypasterza.

Piękne i podniosłe kazanie wygłosił ks. Kanonik St. Grzyb z Jedlicza; mówił szeroko i ładnie o idei życia śp. Ks. Markiewicza i o Jego systemie wychowawczym, stawiając Go za wzór dla ludzi świeckich do naśladowania w życiu zwłaszcza rodzinnym i dla tych wszystkich, co się sprawie wychowania szczerze poświęcili. Odmalował całe Jego piękne, ofiarne i świątobliwe życie oraz doniosłość głoszonych przez Niego zasad, przedstawił ten błogi stan, w jakim znajdował się Ks. Markiewicz w chwili swej anielskiej śmierci, wyraził tęsknotę tych wszystkich, co Go bliżej znali i co się Jego świątobliwemu życiu mieli możność przypatrzyć, — za Jego beatyfikacją... Wspomniał wreszcie o znaczeniu Św. Michała Archanioła i Jego dewizy »Któż jako Bóg?« odnośnie do naszego Zakładu i czasów, które przeżywamy — wreszcie przeprowadził szczegółową analizę hasła »Powściągliwość i Praca«, które było główną dewizą życiową śp. Ks. Bronisława Markiewicza. W czasie nabożeństwa wykonał chór wychowanków Zakładu »Missa de angelis« i hymny do Św. Michała Archanioła.

Po sumie odprawił J. E. Ks. Biskup procesję z Najśw. Sakramentem, po czym odśpiewano »Te Deum laudamus«. — Błogosławieństwo arcypasterskie zakończyło podniosłą uroczystość w kościele — na jej zakończenie odśpiewano jeszcze unisono »Boże coś Polskę« i »Serdeczna Matko«.

Po obiedzie, który tego dnia dłużej nieco się przeciągnął, bo chłopcy nasi nie mogli się tak rychło uporać z nagromadzonymi na ten dzień przysmakami, jakie powyczyniał arcymistrz pan Andrzej, — wykonano przed budynkiem zakładowym zdjęcie całej dużej grupy wychowanków i wychowawców wraz z Najdostojniejszym Gościem i towarzyszącą mu świtą duchowną. Zdjęcie to stanowić będzie bardzo miłą i cenną pamiątkę tego niezapomnianego dla nas po długie czasy dnia.

W godzinach prawie że już wieczornych odbyła się w sali teatralnej Zakładu naszego uroczysta Akademia ku czci Św. Michała Archanioła, na której program złożyło się pełne głębokiej treści przemówienie Ks. Jana Góreckiego, referat kleryka Wisza o Św. Michale jako patronie naszego Zgromadzenia, śpiewy chórowe i solowe, deklamacje oraz produkcje orkiestry Zakładowej. Całość wypadła w stosunku do naszych skromnych możliwości stosunkowo jeszcze może nienajgorzej a dał temu wyraz w ojcowskim swym przemówieniu do młodzieży Ks. Arcypasterz po ukończonym programie, wyrażając swą radość z wyników naszej pracy i zachęcając do dalszych trudów, ofiar i poświęcenia tak koniecznego dziś wszędzie, gdzie się tworzy coś dobrego. Podnosząc cel i zadanie Tow. Św. Michała Archanioła, wyjaśnił Najdostojniejszy Gość nasz wyjątkowe znaczenie naszego świętego Patrona dla Kościoła Wojującego

i oświetlił doskonałą charakterystyką anielską postać śp. Księdza Założyciela, zachęcając do naśladowania Go w trudnej i ciężkiej ale wzniosłej pracy wychowawczej, która zbliża do Nieba nie tylko tych, na których bezpośrednio oddziaływa, ale i tych, co się jej poświęcają. Zaznaczył przy tym Ks Ordynariusz, że Kościół pragnie, aby Zgromadzenie nasze rozwijało się jak najszerzej i przygarniało jak najliczniejsze zastępy młodzieży, przepajając ją duchem Chrystusowym i chroniąc od zasadzek na jej moralność i na wiarę.

Wspominając wreszcie o pięknej konstytucji naszego Zgromadzenia, wyraził swe głębokie przekonanie, że pracę naszą błogosławić będzie Bóg i Kościół święty a Opatrzność środków nie poskąpi, bo zawsze się znajdą ludzie chętni i ofiarni, którzy zrozumieją ważność takiej sprawy, jak ta, której nam służyć przypadło...

Po tych wszystkich serdecznych słowach, po tej u nas bytności tak niedługiej ale tak obfitej w rozdzielane szczodrym sercem łaski pozostanie u nas pamięć o naszym Najdostojniejszym Arcypasterzu, która nie wygaśnie tak prędko...

Pokrzepił nas, umocnił, dodał wiary w nasze wątłe siły, utrwalił nas w naszych zamiarach na przyszłość, pozwolił oczekiwać z otuchą tych dni, które nadejdą...

Niech Mu za to stokrotne będą dzięki — w modlitwach naszych codziennych będziemy prosić Najwyższego, aby Mu tę dobroć dla nas okazaną wynagrodził jak najlepszymi wynikami wszystkich Jego szlachetnych i zacnych poczynań.

J. E. Ks. Franciszkowi Bardzie
Biskupowi Ord. przemyskiemu

J. W. Panu Felicjanowi Sławoj-Składkowskiemu
Prezesowi Rady Ministrów

J. W. Panu Władysławowi Paczoskiemu
Dyrektorowi Biura Prawnego
Prezydium Rady Ministrów

za hojne dary złożone na cele naszych Zakładów Wychowawczych
składamy najserdeczniejsze
Bóg zapłać!

Za zezwoleniem Władzy Duchownej i Przełożonego zakonnego.

WYDAWCA: T-WO ŚW. MICHAŁA ARCH. W MIEJSCU PIASTOWYM.

REDAKTOR: X. JAN GÓRECKI W MIEJSCU PIASTOWYM.

Drukarnia Towarzystwa Św. Michała Archanioła w Miejscu Piastowym.

Przegląd wydawnictw.

Niezmożony w swej pracy nad apostolstwem chorych w Polsce **X. Michał Rękas** przysyła nam nowe wydawnictwa „Apostolstwa Chorych“ (*Lwów, ul. Fredry 3*) a mianowicie:

1) Msza święta chorych (cena 80 gr.)

2) Rekolekcje chorych (dwa tomiki — cz. I. 80 gr, cz. II. — 1 zł)

Obok wydanych już dotychczas broszur jak „Apostolstwo Chorych w Polsce“ — Poznań — Lwów — Nakł. Nacz. Inst. Akcji Kat. — oraz „Eucharystyczne Trzydniowe Nabożeństwo dla chorych“ (cena 1 zł. 50) — jako też listów do chorych, które wychodzą jako małe ulotki miesięczne — stanowią te trzy książeczki bardzo cenny materiał dla propagowania tej tak naprawdę wzniosłej i naprawdę chrześcijańskiej akcji. — Chorzy — jak czytamy w liście za listopad br. — „wpisują się do Apostolstwa, by być Apostołami... To nie jakieś stowarzyszenie dobroczynne ani bractwo modlitwy, ale apostolstwo przez **apostolskie przeżycie choroby i cierpienia“**... W liście za wrzesień czytamy, że według statutu Apostolstwa — chorzy **„przez apostolstwo choroby i cierpienia współdziałają z Akcją katolicką“**... „Cierpliwi, ofiarni, święci chorzy mogą uratować świat od zagłady“ — czytamy gdzie indziej... W liście z czerwca napotykamy określenie celu związku, którym jest „uczynienie z chorych apostołów przez przyjęcie, znoszenie i ofiarowanie cierpień za Kościół i dla zbawienia dusz. W tym apostolstwie przez uświęcenie cierpień chorzy znajdują pociechę i pokrzepienie ducha“... „Chorzy zamiast być kłopotem i ciężarem dla otoczenia i społeczeństwa — zamiast czuć się postawionymi poza nawiasem życia i pracy przez Apostolstwo dochodzą do zrozumienia celu cierpienia i ukochania nawet boleści swych i chorób. Wynikające z choroby uczucie przykre, bolesne, gorzkie zmienia się w uczucie jasne i dobre“...

To są najgłębsze, naprawdę wielkiej jasności i dobroci słowa... Czym stają się one dla ludzi cierpiących i chorych, trudno po prostu słowami określić... Toteż nie będziemy dla braku miejsca spraw tych bliżej teraz analizować — a jedynie zakończymy gorącym apelem do wszystkich, którym ta sprawa leży na sercu i którzy szczerze nią się zainteresowali, — aby zechcieli zająć się krzewieniem tych przepięknych myśli pośród swego najbliższego otoczenia i propagować w jak najszerszej mierze prawdziwie apostolską działalność związku.

„Orka“ Rok I № 4 (grudzień 1936) — miesięcznik społeczny wydawany jako manuskrypt a redagowany przez p. Kazimierę Berkan, Poznań, Łazarz— Al. Hetmańska 14, m. 7. Rocznie z przesyłką zł. 2.— Pisemko nie wielkie objętością — ale wielkie treścią. — Dobór artykułów wiele mówi. Nie ma żadnej napuszystości, żadnych frazesów, żadnego pozowania na jakiś artyzm czy naukowość. Prostota we wszystkim — ale taka, co za serce chwyta. Dążenie widoczne do umoralnienia, przekopania całego życia... ciężka, trudna **orka** naprawdę...

W numerze grudniowym trzy tylko artykuły ale każdy porusza problemy nader aktualne — pierwszy rozważa zadania i znaczenie dobrej prasy — drugi analizuje psychologię dłużnika z punktu widzenia socjalnego prawa o długach „najniewinniejszych“ tzw. „sklepowych“ — przeważnie bez zabezpieczenia i żadnego pokrycia) — trzeci o bezrobotnych i ich gwiazdce. Wszystkie trzy artykuły znakomite — obserwacje i wnioski poczynione na ich podstawie — wyjątkowo uzasadnione i słuszne. Wreszcie luźne, urywkowe notatki o świecie i ludziach oraz bardzo dobry przegląd aktualnych książek i wydawnictw. Radzimy wszystkim zapoznać się z tym nad wyraz pożytecznym a tanim pisemkiem.

Dopomóżcie w zbożnym dziele!

W dniu 29 stycznia 1937 upływa 25 lat od chwili, — w której opuścił ten świat **śp. Ks. Bronisław Markiewicz...**

Wszystkich, którym droga jest Jego pamięć, a którym leży na sercu rozpoczęte przez Niego dzieło opieki nad sierotami i opuszczoną młodzieżą, — prosimy, aby raczyli się do niego przyczynić choćby najskromniejszym datkiem z okazji tej smutnej rocznicy. Będzie to najlepsze i najbardziej zgodne z intencjami naszego świątobliwego Założyciela uczczenie Jego zasług. Przecież On patrzy się z Niebios na nasze trudy i prace i smuci się, widząc — ile tu jeszcze brakuje do tego, aby można było powiedzieć, że opanowaliśmy najbardziej dotkliwe braki. — Widzi tych chłopców w porciętach z podartego drelichu i bluzczynach wiatrem podszytych goniących po mrozie i chłodzie... Widzi, że wielu z nich obuwia brakuje, — że sypialnie są czasem zimne i nieopalone, że budynki są niewykończone, że tyle, tyle jest braków i potrzeb a środków na ich pokrycie nie ma, bo ofiarność społeczeństwa zmalała do minimalnych granic!...

Niechże każdy zbędny grosz — każdy grosz, który dałoby się odłożyć, — zostanie obrócony na tę poczciwą intencję! Z pewnością uraduje się z tego uczczenia Jego pamięci serce naszego w jasnościach królującego Opiekuna więcej niż z czegokolwiek innego a wstawienie się Jego u Najwyższego ześle łaski na Dobrodziejów naszych w obfitej mnogości i wszelkie prośby za tym Jego świętym orędownictwem zostaną wysłuchane!

Pamiętajmy, że Ks. Bronisław Markiewicz nie umarł ale żyje!... Żyje dalej w sercach naszych, żyje w dziele po sobie pozostawionym, — żyje i patrzy z radością na wszystko, co temu dziełu służy i je wspomaga, — a smuci się jego niepowodzeniami...

Uczcijmy Jego pamięć ofiarą!